ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 3-4 (158) • Marzec-Kwiecień 2020 • Cena 3,00 zł

ISSN 1897-4023

Zdjęcie rodzinne

„Każdy ma swoją prawdę”
Michalina i Bolesław Multonowie

Rodzice mojej Mamy i Taty pochodzili z tej samej wsi Czorncze na Wołyniu. Dziadek ze strony Taty - Filip Multon był ogrodnikiem i mój tato przejął od niego zamiłowanie do ogrodnictwa i pszczelarstwa. Jego mama - Julia z domu Pokorna zajmowała się domem i dziewięciorgiem dzieci. Moja Mama była jej chrześnicą. Dziadek ze strony mamy – Naum Szkara był leśniczym, babcia Paulina, z domu Antoniuk zajmowała się gospodarstwem domowym i krawiectwem. To ostatnie bardzo przydało jej się w czasie wojny. Szyła, przerabiała w zamian za artykuły spożywcze. Rodzice Mamy z nią i jej bratem przyjechali w czasie wojny na teren Polski do wsi Samowicze koło Terespola. Babcia Julia została sama z dziećmi w rodzinnej miejscowości. Mojego dziadka rozstrzelali Niemcy na pokazowej egzekucji, ponieważ dowiedzieli się, że jego syn Bolesław jest w partyzantce. Został po nim tylko pasek na pamiątkę. Rodzina Taty została po wojnie na Wschodzie, kontakt z nimi był utrudniony. Tato był tam tylko na ślubie swojej siostrzenicy. Niestety, nie pozwolono mu wtedy odwiedzić grobu matki.

Po wojnie odnalazł Mamę w Samowiczach. Przez cały wojenny czas pisał do niej listy, a ona jako młodziutka dziewczyna, niepewna jego powrotu, była zaskoczona, gdy pojawił się przed nią i oświadczył się. Ze strony Mamy nie od razu było to uczucie wielkiej miłości, fascynacji i namiętności. To raczej Tato ją sobie wypatrzył i „zamówił” jako swoją dziewczynę. Prawie wszystkie jego listy do niej są w duchu patriotycznym: „Moja Dziewczyno. Walczymy, a jak wyzwolimy Ojczyznę, to wrócę po Ciebie”. Wrócił i namówił ją do przyjazdu na Zachód do Rząśnika do tego domu, gdzie mieszkamy. Bardzo bała się nieznanego, ale zgodziła się i 16 lutego 1947 r. pojechali na ślub saniami do kościoła do Wlenia. Urodziły się im trzy córki.

Na początku nie było łatwo, to były bardzo trudne czasy do życia. Pomagano sobie wzajemnie, mimo obaw, że powrócą Niemcy. Wszyscy byli biedni, ale Tato był bardzo uparty i dopiął swego. Gdy zaczynał swoje „gniazdowanie” tutaj, podchodzono do tego z dystansem i niepewnością. Najpierw powstał jeden sad, potem posadził drugi. Zanim urosły jabłonie, w sadzie pasła się krowa, a Tato zajmował się ogrodnictwem i założył swoją ukochaną pasiekę. Zaczął od 50 uli, docelowo było ich 290. Zamiłowanie do pszczelarstwa pozostało w rodzinie, ponieważ syn mojej najstarszej siostry zajął się pszczołami, jak dziadek. Tato przekazał nam umiłowanie przyrody i pokazał wartość pracy. Potrafił w pasjonujący sposób opowiadać o swojej pracy w sadzie, rozmawiał z drzewkami, dzielił się świąteczną kutią z pszczołami. Mnie osobiście przekazał zamiłowanie do wiedzy, do czytania. Sam bardzo dużo czytał, miał wszechstronne zainteresowania. Mama należała do komitetu rodzicielskiego, do koła gospodyń. Zajmowała się zbiorem jabłek i kręceniem miodu oraz doglądała gospodarstwa domowego.

Tak sobie kiedyś pomyślałam, że ja cały czas postrzegałam mojego Tatę pod kątem wojny i takich wartości, jak Ojczyzna, honor, niezależność. W naszym domu cały czas unosił się duch patriotyzmu. Tato przywiązywał ogromną wagę do wszystkich świąt wojskowych, np. do Dnia Zwycięstwa i Dnia Wojska Polskiego. Z okazji tych świąt zakładał swój mundur, zapraszano go do szkoły, gdzie dzieciom pokazywał otrzymane medale i opowiadał o tamtych czasach. Był wtedy akurat w Berlinie, gdy na Reichstagu była zatykana flaga rosyjska. Widział biegające po mieście przestraszone zwierzęta z Tiergarten.

Rodzice dużo opowiadali o swoim życiu przed wojną i czasach po wojnie, ale ja, jako nastolatka, nie byłam specjalnie tym zainteresowana. Dopiero po śmierci Mamy zmieniłam swój sposób postrzegania. Miałam okazję odwiedzić w Stanach brata mamy, który w czasie wojny wyjechał do Niemiec, stamtąd do Chicago. W tym roku kończy on 98 lat, jest bardzo sprawny fizycznie i umysłowo. Poczułam, że chciałabym porozmawiać z kimś, kto pochodzi z Kresów i może mi coś opowiedzieć o tamtych czasach. Chciałam poznać jego wspomnienia, posłuchać, jak żyli za Bugiem. Była to dla mnie misja. Starsi ludzie chcą, aby z nimi być, rozmawiać, wspominać. Każdy ma swoją prawdę. Po powrocie zaczęłam się pochylać nad wspomnieniami rodziców z czasów wojennych i powojennych. Dopiero teraz zauważyłam ogrom informacji o tamtych czasach, jaki zawierają zapiski Taty, jego listy do Mamy, pamiętniki, zapiski pszczelarskie, notatki. Jestem pod ogromnym wrażeniem tego, co odkrywam, bo zdaję sobie sprawę, że w niewielu domach zachowało się tyle rodzinnych dokumentów i pamiątek. Nie tylko zresztą rodzinnych, ponieważ są u nas, np. protokoły zebrań straży pożarnej z 1960 r. Historia mojej rodziny przeplata się z historią miejscowości. Moje dzieci miały szczęście, że znały swoich dziadków, którzy opowiadali im o dawnych czasach, o wojnie, byli żywymi świadkami historii. Na nagrobku mojego Taty znalazł się wiersz Marii Konopnickiej, który znakomicie wpisuje się w całe jego życie i pracę:

A jak ciebie kto zapyta:
Kto ty taki, skąd ty rodem?
Mów, żeś z tego łanu żyta,
żeś z tych łąk, co pachną miodem.
Mów, że jesteś z takiej chaty,
co Piastowską chatą była.
Żeś z tej ziemi, której kwiaty
gorzka rosa wykarmiła.

Renata Multon-Kozłowska

Oddajmy głos bohaterowi wspomnień. Oto życiorys Bolesława Multona, spisany własnoręcznie przez niego 17 kwietnia 1983 roku (zachowana oryginalna forma):

Bolesław Multon, syn Filipa, urodzony 2 maja 1919 roku w Kustownicy na Białorusi. Od 1935-1940 r. na gospodarstwie własnym we wsi Czorncze na Wołyniu. Od 1940-1941 r. w kołchozie im. Lenina. W 1941 r. zmobilizowany do Armii Czerwonej w Kołomyi (164. pułk piechoty). Udział w walkach pod Kamieńcem Podolskim, wzięty do niewoli hitlerowskiej od sierpnia do listopada 1941 r. i przebywa w stalagu w Muninie koło Jarosławia obok Przemyśla. Ucieka z obozu i wraca na Wołyń. Od 1924 r. do 1944 r. w partyzantce radzieckiej, oddział Suworowa, zjednoczenie „Kołpaka” na Polesiu (Lubieszów, Ratno).

W marcu 1944 r. wstępuje do Ludowego Wojska Polskiego, do org, I Armii W.P. formowanej w Żytomierzu. Kończy Szkołę Oficerską w Łucku i Mińsku w stopniu chorążego. Zostaje przydzielony jako dowódca plutonu CKM do 12 pułku piechoty IV dywizji na linii obrony pod Otwockiem. 16 stycznia 1945 r. bierze udział w forsowaniu Wisły, w ofensywie wyzwolenia Warszawy, marszu na Kutno, Bydgoszcz i walkach o Wał Pomorski. Zostaje 8 lutego ranny pod Mirosławcem. Trafia do szpitala w Jastrowcu. 13 marca wraca na front, do walk o Kołobrzeg. Jest uczestnikiem zaślubin Polski z morzem. Po wyzwoleniu Kołobrzegu marsz na linię

Szkoła Oficerska w Mińsku - zdjęcie ze śladem po kuli

Odry, 17 kwietnia forsowanie rzeki pod Wriezen, rozwinięcie przyczółka w kierunku na Oranienburg w drodze na Berlin. Ciężko ranny w nogę w walkach z dywizją czołgów pancernych Steinberga na kanale Hohenzolern trafia do szpitala w Berlinie.

Po zakończeniu wojny 8 maja 1945 r. zostaje przewieziony do szpitala w Bydgoszczy i 7 września zdemobilizowany. Po demobilizacji udaje się jako inwalida wojenny do Technikum Pszczelarskiego w Pszczelej Woli koło Lublina. Kończy roczną szkołę pszczelarską i w lipcu 1946r. dostaje skierowany na Ziemie Odzyskane. Pracuje w Urzędzie Ziemskim w Złotoryi jako Inspektor Pszczelarstwa nad rozwojem i hodowlą pszczół w powiatach Złotoryja i Bolesławiec. Osiedla się w Rząśniku, gdzie wstępuje w związek małżeński z Michaliną. Organizuje pasiekę, sadzi szczepy i hoduje jabłonie i porzeczki. Od roku 1948 zakłada i organizuje Ochotniczą Straż Pożarną w Rząśniku, gdzie do dzisiaj pełni funkcję sekretarza. Od roku 1950 jest członkiem Rady Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej w Legnicy. Członek ZSL od 1956 r.Członek Związku Inwalidów Wojennych, ZBOWiD, Rady Banku Spółdzielczego w Świerzawie, Powiatowego Związku Pszczelarzy. Najważniejsze odznaczenia: „Krzyż Walecznych” za walki o Wał Pomorski; Medale: „Za Warszawę”; „Za Odrę, Nysę i Bałtyk”; „Za Berlin”; „Wolności i Zwycięstwa”; „Za zasługi dla województwa jeleniogórskiego”; srebrny i złoty medal „Za zasługi dla pożarnictwa”; Srebrny „Krzyż Zasługi”; „Kawalerski Order Odrodzenia Polski” za gospodarność i prace społeczne na ziemiach Odzyskanych w Rząśniku; Posiadam szereg dyplomów za hodowlę pszczół, rozwój sadownictwa, działalność w OSP, ZBOWiD i Spółdzielczości. Takim życiorysem można by obdarzyć przynajmniej kilka osób.

Trudno nam sobie wyobrazić, aby jeden człowiek przeżył tak wiele i mimo to ułożył sobie życie po wojnie tak, aby móc realizować swoje postanowienia i swoją wizję przyszłości, poświęcając się rodzinie i pracy, jak to opowiedziała jego najmłodsza córka. Ja osobiście uważam, że przez cały trudny czas wojny Bolesław znajdował pocieszenie w listach do Michaliny jego wybranej, kochanej dziewczyny, które pisał systematycznie od lipca 1944 do marca 1946 roku, tyle przynajmniej się zachowało w archiwum rodzinnym. Miałam zaszczyt przeczytać te listy, które zawierają ogromny ładunek emocjonalny, wzruszają i skłaniają do refleksji. Na pewno podtrzymywały go na duchu odpowiedzi, które są czasem cytowane. Przemawiają one także do czytającego duchem patriotyzmu, częstym odwoływaniem do Boga, co nie dziwi, gdy wiemy, kiedy były pisane. Niewiadomą zaś było, czy dotrą przez pocztę polową do adresata, czy zastaną go żywego. Przytoczymy kilka ich fragmentów:

„Kochana Michaś! Rozłąka nas dzieli, ale wspólne cele łączą. Myśl o szczęśliwej przyszłości rozjaśnia zasmucone lica.” (22.07.44.)

„Przed każdym z nas żołnierzy stają radości i smutki. Wszyscy żyjemy pragnieniem zdobycia szczęścia, a szczęście to proste, uczciwe życie, umiłowanie pracy i szacunek ludzi.” (26.11.44.)

Państwo Multonowie z córkami Julią i Ireną (Jadwigą)

„Michalino! Dzielę się wspólnie z Tobą i Twoimi Rodzicami, ten opłatek pokrzepi nas to duchowo na przyszłość.”(XII 1944)

„Czuje się bardzo zdrów, wyglądam dość dobrze, najedzony i duchowo zawsze wesoły wypełniam swoje obowiązki wobec Ojczyzny.” (Wigilijny wieczór 24.12.44.)

„Michalinko! O mój los nie masz co się troszczyć, a miej nadzieję i wiarę w Boga, bo wszystko od Niego jest zależne i nie ma złego, co by na dobre nie wyszło.” (27.10.44.)

Dziękuję serdecznie córce państwa Multonów – pani Renacie Multon-Kozłowskiej za pozwolenie na wgląd do rodzinnych tajemnic. Drodzy czytelnicy, poszperajcie w swoich domowych archiwach. Może też znajdziecie w nich takie perełki, jak listy Bolesława do Michaliny.

Wioleta Michalczyk

Pamietnik z 1964 r.

Listy Bolesława do Michaliny

Michalina z bratem Bronkiem i rodzicami, 1937-38

Fotografia ślubna, 1947 r.

B. Multon z praktykantem w pasiece

B.Multon w swoim sadzie

Oprysk sadu jabłoniowego

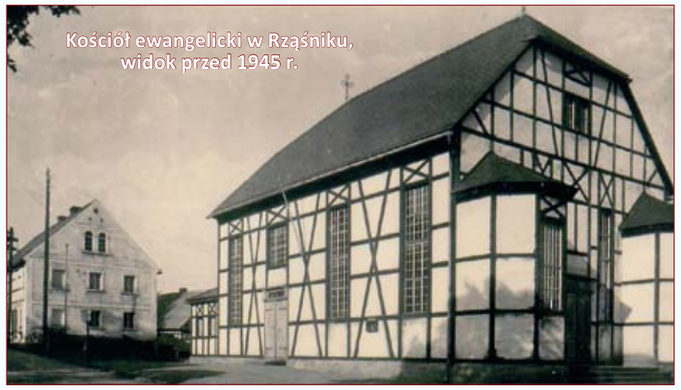

Z Rząśnika do Łomnicy

Barokowy dom modlitw w Rząśniku stanął w 1748 r. Powstał po okresie zawirowań historycznych i religijnych, w tzw. okresie „Śląskiej Tolerancji". W ciągu 15 lat (1741-1756) na Dolnym Śląsku wybudowano 212 takich domów – m. in. w Kowarach, Starej Kamienicy, Maciejowej, Kopańcu, Piechowicach, Piastowie czy Łomnicy. Większość z nich zniknęła z dolnośląskiego krajobrazu, rząśnicki – otrzymał drugą szansę.

Reformacja i kontrreformacja

Protestantyzm rozprzestrzeniał się wśród mieszkańców Śląska już w latach 20. XVI w. Po wojnie trzydziestoletniej, habsburski cesarz, realizując restrykcyjną politykę przywracania katolicyzmu, odebrał protestantom ich świątynie. Zezwolił jedynie na (wymuszone w zawartym pokojem westfalskim) budowę trzech świątyń na obrzeżach Jawora, Głogowa, Świdnicy, z zastrzeżeniem, że budowa nie potrwa dłużej niż rok, wykorzystany zostanie materiał nietrwały – drewno, glina, słoma i piasek, a świątynie nie będą powielać tradycyjnego kształtu katolickich świątyń (czyli bez wież i dzwonów). Luteranie dostosowali się do narzuconych obostrzeń i postawili trzy okazałe Kościoły Pokoju z konstrukcją szachulcową.

Gdy w 1740/41 r. Fryderyk II Wielki w wyniku zainicjowanej przez siebie wojny prusko-austriackiej przejął dwuwyznaniowy Śląsk, prześladowana wspólnota protestancka odczuła ulgę. Po ewangelickim królu spodziewano się swobody wyznaniowej i zwrotu świątyń, ale skończyło się na uzyskaniu zgody na budowanie nowych - ze szkołą i domem parafialnym -pod warunkiem, że gminę stać było na utrzymanie świątyni, pastora i nauczyciela. Rząśnik należał do zamożnych wsi, choć kolejna wojna dała się i tu we znaki. Udało się wznieść kościół o konstrukcji ryglowej z wypełnieniami z cegły, na rzucie prostokąta, z dwoma wielobocznymi ryzalitami na narożach frontu (ze schodami), z drewnianymi emporami wewnątrz, pokryty dachem naczółkowym. Bez wieży, bez dzwonów. W ciągu piętnastu lat powstało ich ponad 200; dzisiaj są symbolem rzadkiej w tamtych czasach tolerancji religijnej, która pozwoliła na współistnienie dwóch odmiennie religijnych świątyń.Pod koniec XVIII w. spowszedniały i powoli zaczęły znikać; w ich miejsce pojawiały się trwałe murowane kościoły. Dla rząśnickiego domu nie był to także czas łaskawy - w 1919 r. zrównał go z ziemią pożar wywołany uderzeniem pioruna. Chociaż w innych miejscach na zgliszczach zbudowano by już okazałą świątynię, mieszkańcy Schönwaldau, mimo powojennego kryzysu, postanowili odbudować barokowy dom o konstrukcji szachulcowej. W odbudowę zaangażował się Günter Grundmann – późniejszy profesor historii sztuki i konserwator zabytków, autor wielu książek o sztuce na Śląsku, najbardziej znany jednak z tzw. „listy Grundmanna". Grundmann pod koniec II wojny światowej nadzorował akcję zabezpieczania i ukrywania niemieckich i zagrabionych na terenie Polski dzieł sztuki. Stworzył listę schowków, które lokował w dolnośląskich rezydencjach. W jego cieplickiej willi znaleziono 19 skrzyń wypełnionych przedmiotami z katedry wawelskiej i warszawskiej, Wilanowa, Łazienek, Muzeum Narodowego w Warszawie i Muzeum Czartoryskich. Młody wówczas konserwator zabytków, pierwszy zwrócił uwagę na specyfikę i zabytkowy charakter szachulcowych domów modlitw. Przy odbudowie zwracano uwagę na każdy szczegół, dzięki czemu powstała wierna kopia spalonej świątyni, którą już w 1923 r. uroczyście konsekrowano.

Odbudowany kościół służył miejscowej ludności do końca 1945 r. Po wojnie mieszkańców wysiedlono, świątynia stała pusta. Napływająca ludność wyznania katolickiego nie zagospodarowała obiektu. Jak większość podobnych popadał w ruinę. Z czasem wykupił go prywatny właściciel i zamienił na magazyn. Nie było w nim już żadnych oznak dawnej świętości i świetności, były za to dary natury – tony przechowywanych pod dachem jabłek. Nic jednak nie trwa wiecznie i pojawiały się kolejne zniszczenia. Gdy zawalił się dach, a żadna siła wyższa nie zaglądała do Rząśnika i nie miała pomysłu na to, co dalej, obiektem zainteresowała się Elizabeth von Küster, właścicielka łomnickiego pałacu. Nie tylko dostrzegła światełko w tunelu, ale wywołała iskrę, która zapaliła ją i spore grono ludzi do pomysłu przeniesienia świątyni do Łomnicy – znanej także złotoryjanom z odrestaurowanych pałaców, świątecznych jarmarków i Święta Lnu.

I tak rozpoczął się skomplikowany proces ratowania świątyni i wyboista droga poszukiwania funduszy, zdobywania pozwoleń budowlanych, pokonywania technicznych zawiłości. Nie mniej skomplikowanym zabiegiem był demontaż rząśnickiego domu modlitw, inwentaryzacja i przewóz elementów, które miały być ponownie wykorzystane. Budynek rozebrano i przeniesiono jesienią 2008 r. Prace nadzorował zespół polskich i niemieckich cieśli z Jeleniej Góry i Görlitz. Inwentaryzacją, odpowiednim opisem i ponumerowaniem wszystkich elementów zajmował się pracownik muzeum etnograficznego z Ochli oraz jeleniogórski Urząd Ochrony Zabytków. Swoim doświadczeniem służyli także pracownicy Akademii Zabytków w Görlitz. Całość przedsięwzięcia możliwa była dzięki finansowemu wsparciu polsko -niemieckiego Stowarzyszenia Pielęgnacji Kultury i Sztuki Śląska (VSK) z siedzibą w Görlitz.

Dopiero w 2017 r. stanęła nowa drewniana konstrukcja ścian zewnętrznych i więźba dachowa, na której umocowane zostały przywiezione oryginalne elementy. W zrekonstruowanym budynku będzie mieściło się multimedialne muzeum z prezentacją pt. „Śląska tolerancja – tolerancyjny Śląsk". Tak szerokie potraktowanie tematu Elizabeth von Küster uzasadniła w wywiadzie dla StrimeoTV (2018 r.) - *Muzeum jako Centrum Kultury, przedstawiające całą wiekową historię dolnośląskiej religii, dolnośląskich kościołów, z całym wachlarzem – od początku do końca. Nie chcemy tylko opowiadać o domach modlitw, ale też o innych ciekawych budynkach, które są wyjątkowe i tylko na Dolnym Śląsku.*

Dom Modlitw stanął na terenie zespołu łomnickiego folwarczno-pałacowego. Uzupełnił lukę powstałą na skutek powojennych zniszczeń i ubytków w miejscowej architekturze. Dla turystów będzie dodatkową atrakcją i zachętą do obejrzenia pozostałych zabytków sakralnych o podobnym znaczeniu, jak choćby jaworski Kościół Pokoju.

Rząśnicki Dom Modlitw można oglądać także w miniaturze jako jeden z wielu obiektów zgromadzonych na terenie Parku Miniatur w Kowarach.

Joanna Sosa-Misiak

Źródła: https://vkschlesien.de/pl/projekty/rzasnicki-dom-modlitwy/
www.strimeo.tv; www.fotopolska.eu.

Złotoryja okiem mistrza

Kolekcjonerzy starych złotoryjskich pocztówek poszukują rzadkich okazów, na których utrwalono nieistniejące już kamienice, pomniki, restauracje. Zajmują się chronologicznym odtwarzaniem fragmentów miasta, zmieniających się skwerków i ścieżek spacerowych. Śledzą pojawianie się budynków, które zapełniają luki w miejskiej architekturze. Krótko mówiąc – analizują pocztówkowe kadry. Nie zawsze na pierwszym planie pojawia się autor fotografii. Tym razem zrobimy wyjątek, bowiem na jednej z powojennych pocztówek Złotoryja uchwycona została obiektywem wielkiego mistrza, legendy polskiej fotografii - **Stefana Arczyńskiego**.

Życie tego wrocławskiego fotografika wypełnione było podróżami, z których przywoził setki zdjęć, składających się na fotograficzne cykle oraz wystawy tematyczne. Ostatnią z nich zorganizowano z okazji 100-cia urodzin, przedstawiając dorobek artystyczny mistrza. Warto zaznaczyć, że swoją życiową pasją aktywnie zajmował się do 95. roku życia (w lipcu skończy 104 lata), a pierwszym fotograficznym wyzwaniem była letnia olimpiada sportowa w Berlinie w 1936 r. Na igrzyskach pojawił się jako początkujący fotograf, ale rozmach imprezy i atmosfera wokół rywalizacji sportowej zachowały się w pamięci ze szczegółami do dzisiaj - w przeciwieństwie do zdjęć, które spłonęły podczas bombardowania Berlina.

Szlify zawodowe zdobywał w niemieckim zakładzie fotograficznym w czasach najwyższych osiągnięć i rozwoju technicznego oraz artystycznego fotografii niemieckiej. Pasji fotograficznej podporządkował wszystkie sfery życia prywatnego i zawodowego. Nie szukał wyjątkowych obrazów, bacznym okiem przyglądał się otoczeniu i z niego wydobywał czarno-białe kadry, które dzisiaj uchodzą za unikatowe, z których wyłania się wrażliwe „oko" i styl artysty. Fascynowało go piękno przyrody (krajobrazy, chmury, drzewa), architektura, ale także życie codzienne i jego uczestnicy – ludzie. W kręgach fotograficznych znany jest z reporterskiego dorobku, układającego się w kronikę dźwigającego się z ruin i budzącego do życia kulturalnego Wrocławia. W swoim dorobku ma dziesiątki portretów Henryka Tomaszewskiego – mima, tancerza i wieloletniego przyjaciela. Wiele zdjęć, a nawet całe kolekcje, uchodzą dzisiaj za dzieła sztuki.

Ścieżka zawodowa usłana była sukcesami, natomiast w życiu prywatnym doświadczył wielu turbulencji, które złożyły się na bogaty życiorys, ale i wrażliwość na piękno przyrody i ludzi. Artysta urodził się (1916) i dorastał w Essen, w rodzinie wielkopolskich emigrantów. Rodzina wywodziła się z Wielkiego Księstwa Poznańskiego – polskojęzycznej prowincji państwa pruskiego. Matkę stracił w wieku 3 lat, ojca – wielkiego patriotę i działacza Związku Polaków w Niemczech, po bestialskim przesłuchaniu, zamordowało gestapo. Podczas II wojny światowej Arczewskiego wcielono do Luftwaffe i skierowano do Francji (obrabiał zdjęcia lotnicze), z czasem wysłano go na front wschodni pod Stalingrad, gdzie odniósł rany. Z wojskowego lazaretu trafił do niewoli, z której po wojnie uszedł dzięki przedwojennej patriotycznej działalności ojca. W 1946 r. przybył na Dolny Śląsk, początkowo do Lubawki, potem do Kamiennej Góry, gdzie przez dwa lata, do czasu wyprowadzki do Wrocławia, prowadził zakład fotograficzny.

Stefan Arczyński współpracował z prasą i wydawnictwami, jego zdjęcia ilustrowały artykuły prasowe, książki, albumy i kalendarze. Przez kilka dekad w powszechnej sprzedaży pojawiały się pocztówki z jego fotografiami – także wykonanymi w Złotoryi.

Joanna Sosa-Misiak

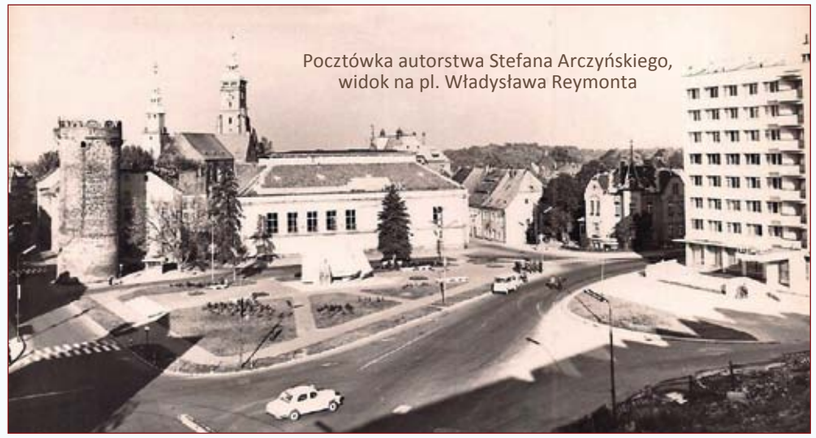

Apetyt na życie

Za oknem marcowa szaruga. Natura powoli zrzuca z siebie zimowy płaszcz. Na przedwiośniu huśtawka pogodowa nie najlepiej nastraja ludzką psychikę - raz deszcz, raz śnieg, innym razem nieśmiałe promienie słońca. Tylko klangor (przypominający głos trąbki) szybujących po niebie kluczy żurawi, zmierzających na północ na letnie lęgowiska, zwiastuje nadejście wiosny. W kwietniu, kiedy pola, łąki i ogrody wybuchną radośnie pierwszymi kwiatami, świat się prawie wszystek zaśmieje - jak pisał poeta - budząc ludzki apetyt na życie.

Apetyt na życie to coś, co nastawia nas optymistycznie do otaczającego świata i daje napęd do działania. Lubimy być aktywni i to bez względu na wiek. Z moich codziennych obserwacji wynika, że często o wiele większy apetyt na życie ma pokolenie ludzi po pięćdziesiątce niż młodzieży w kwiecie wieku. Co mnie utwierdza w tym przekonaniu? Gdy rozmawiam z nastolatkami, często słyszę, że się nudzą, nie potrafią znaleźć w sobie pasji i chęci do działania. Czekają, żeby im ktoś coś zorganizował, podał na przysłowiowej tacy. W najlepszym wypadku zasiadają przed ekranem komputera i zaczynają żyć jedynie w swoim wirtualnym świecie. Rzadko kontaktują się ze sobą, bo są przecież komunikatory społecznościowe zastępujące spotkania w realu. Nie chodzą razem w góry, jak to za moich czasów bywało. Nie organizują wspólnych wypadów za miasto. Dlaczego tak się dzieje? Myślę, że zmienił się styl życia młodych, bo jak mawiał poeta, każde pokolenie ma swe własne cele. Pokolenie 50- latków w dzieciństwie spędzało wspólnie czas na trzepaku, na integrujących zabawach na podwórku, zimą na lodowisku czy górce, a latem nad rzeką lub na boisku, ganiając za piłką. Takie spędzanie czasu jednoczyło, uczyło współdziałania, zmuszało do pomysłowości, żeby zabawa była atrakcyjna i ciekawa. Nikt nie czekał na to, że mu ktoś coś zorganizuje. Stąd dzisiejsze pokolenie seniorów też stara się żyć pełnią życia. Jak po deszczu rosną w naszym otoczeniu różnego rodzaju stowarzyszenia, kluby, sekcje aktywizujące ludzi fizycznie oraz utrzymujące w dobrej formie ich kondycję psychiczną. Nie dziwią nas już dziś chodzące samotnie lub grupowo osoby z kijkami – po prostu nordic walking stał się „dobrą" modą, co jeszcze kilka lat temu budziło ironiczne komentarze. Popularna wśród seniorów stała się nauka języków obcych czy podstawowej obsługi komputera. Starsi spotykają się w kinie na retransmisjach wybitnych dzieł operowych czy baletowych, tworzą własne grupy teatralne, ćwiczą jogę lub zumbę, szlifują umiejętności taneczne, czy po prostu spotykają się w klubie seniora na wspólnej kawie przy upieczonym przez siebie pysznym cieście. Mówi się że apetyt rośnie w miarę jedzenia i jest w tym dużo prawdy, bo czym większa aktywność, to tym większa kreatywność, dająca poczucie wspólnoty oraz siłę do pokonywania codziennych słabości, a tym samym większy apetyt na życie. Optymistyczne jest również to, że coraz szerzej drzwi do świata ludzi starszych otwiera młodzież. Wiele inicjatyw podejmowanych jest wspólnie. Młodzi spisują wspomnienia swoich dziadków, spotykają się z nimi z okazji różnych świąt i uroczystości państwowych, utrwalają pamięć o nich na fotografiach i w filmach. Uczą się od starszego pokolenia jak żyć, dając w zamian swą młodzieńczą werwę i entuzjazm.

Każde pokolenie ma własny głos, każde pokolenie chce wierzyć w coś, każde pokolenie chce zmieniać świat - jak śpiewał Grzegorz Skawiński. Ta ponadczasowa myśl uczy, że choć z każdą sekundą nasze życie przemija i zmierza do ostatecznego celu, to warto być ciągle łakomym na każdy jego kęs bez względu na to czy mamy lat naście, czy dziesiąt. Apetyt na życie to nasza szansa na to, byśmy przeżyli go w sposób wartościowy, kreatywny i dający poczucie satysfakcji. Nie narzekajmy, nie nudźmy się, nie mówmy, że nic nam się nie chce, a wtedy apetyt na życie sam zapuka do naszego serca i umysłu. Czego na przedwiośniu życzy

Markosia

Epidemia AD 2020

W piątek 13 marca ogłoszono w Polsce stan zagrożenia epidemicznego. Został wprowadzony zakaz zgromadzeń publicznych powyżej 50 osób, przywrócono kontrolę na granicach Państwa, zamknięto ją dla obcokrajowców, a Polacy przyjeżdżający zza granicy poddani byli obowiązkowej dwutygodniowej kwarantannie. Restauracje, bary i kawiarnie mogą prowadzić działalność tylko na wynos i na dowóz. W Złotoryi już od feralnego piątku wszystkie miejskie instytucje zostały zamknięte dla osób z zewnątrz i przełączyły się na tryb „pracy wewnętrznej”. Zamknięto ZOKiR, Muzeum Złota i Bibliotekę Miejską. Do odwołania zawieszono działalność Klubu Senior+ i Środowiskowego Domu Samopomocy w Złotoryi. Od 16 marca zamknięto złotoryjskie szkoły, a dzień później Przychodnia Rejonowa w Złotoryi odwołała wszystkie zaplanowane wizyty lekarskie. Szpital zabronił odwiedzin. Zakłady usługowe, w tym fryzjerzy i dentyści jeden za drugim zamykali swoje punkty. Sklepy skróciły godziny otwarcia (np. mięsne czynne do 15.00). Poczta czynna jest tylko do godziny 16.00.

A wszystko to w celu zapobiegania rozprzestrzenianiu się choroby zakaźnej COVID-19 wywołanej wirusem SARS-CoV-2. Napięcie wśród złotoryjan zaczęło narastać już znacznie wcześniej wraz z napływającymi informacjami z Azji, ze świata, z Europy, z Włoch, z Niemiec. Oficjalna wersja mówiła, że nowy śmiertelny koronawirus po raz pierwszy zaatakował małe miasto w środkowych Chinach Wuhan i pochodzi „odzwierzęco” od miejscowego nietoperza, którego mięsem handlowano tam na targowisku. Inna „podziemna” wersja związana jest ze specjalnym działaniem terrorystów lub służb znanych krajów w celach różnych, bliżej nieokreślonych. Z początku wirus traktowany był przez nas jako kolejna odmiana „ptasiej”, „świńskiej”, później zwykłej grypy. Jest daleko i szybko wygaśnie. W dzisiejszych czasach rozwiniętej medycyny, nabytych naukowych doświadczeniach po SARS, a także średniowiecznych zarazach wydawało się, że umiemy radzić sobie z każdym zagrożeniem. W dwudziestym wieku poradziliśmy sobie przecież z tyloma chorobami zakaźnymi, że globalna epidemia nam już nie grozi. Ala nagle nadeszła nowa rzeczywistość.

Pewne ostrzeżenia niosły już ze sobą filmy i książki katastroficzne. Okazało się, że głównie też z beletrystyki, niestety, wynika nasza powszechna (intuicyjna) wiedza o tym zagrożeniu i przekonanie dużej części społeczeństwa, że rząd kłamie, ukrywa fakty, a zarażenie jest nieuchronne, każdy jest potencjalnym zabójcą i nikomu nie można ufać. Tyle w tym prawdy, co i fikcji. A brak wiedzy to bezradność i narastający niepokój. Tragiczne informacje z północnych Włoch napłynęły w czasie masowych powrotów naszych rodaków z wyjazdów na zimowe ferie. Okazało się, że bardzo dużo osób spędzało tam wolny czas. Już na początku marca pojawiły się niepokojące informacje ze złotoryjskich szkół o chorych dzieciach, które ferie spędziły za granicą. Zaczęto wyliczać, z kim się spotykały, kto miał z nimi lekcje, zaczęły się pytania rodziców i wyjaśnienia nauczycieli. Wreszcie, mimochodem, usłyszałem fragment rozmowy znajomych „…zabieraj swoje dziecko ze szkoły…”. Szkoły zamknięto. Ten problem się skończył. Zaczęto z wielkim żalem odwoływać, często już wykupione wczasy w północnych Włoszech. Kto jeszcze się wahał z podjęciem takiej decyzji, spotykał się z wrogimi spojrzeniami współpracowników, a pracodawcy zaczynali się zastanawiać, czy mogą zmusić takiego pracownika do dwutygodniowego urlopu (czyt. kwarantanny), po powrocie. W marcu w Złotoryi nie zanotowano przypadków choroby zakaźnej COVID-19.

W celu wyeliminowania czynnika braku lub błędnej informacji, burmistrz Złotoryi zaczyna swoje codzienne telewizyjne relacje o stanie epidemii w mieście. Ostrzega starszych, mówi o ograniczeniach, apeluje o pomoc nie tylko seniorom, ale także sąsiadom na kwarantannie. Dementuje plotki i prosi o życzliwość wobec siebie i nieszykanowanie innych. Ulice Złotoryi pustoszeją, ale mieszkańcy nie znikają. Powstają społeczne inicjatywy, takie jak na przykład zbiórki funduszy pomocowych czy szycie maseczek przez miejscowe krawcowe i amatorów przy współpracy Stowarzyszenia „Nasze Rio”, przekazywanych później lekarzom, pielęgniarkom, strażakom i policjantom. W tym czasie dochodzą do nas coraz bardziej przerażające informacje z Włoch, gdzie liczba zgonów spowodowanych nową epidemią jest nieprawdopodobnie wysoka. Dochodzi nawet do 800 osób dziennie. Później do tych statystyk dołączą Hiszpania, Anglia i USA. Niektóre miejscowości w północnych Włoszech odcięte są od reszty kraju kordonem sanitarnym. Nikt nie może stamtąd wyjechać i tam wjechać. Telewizja pokazuje puste półki sklepowe i kilometrowe kolejki. Rozpacz mieszkańców i bezradność lekarzy. Ta atmosfera powoduje, że i u nas zaczynają pustoszeć sklepy. Nie żeby czegoś brakowało, ale obsługa sklepowa nie daje rady wykładać towaru, a dostawcy dostarczać. Znikają głównie puszki, makarony, mąki (drożdży nie ma do tej pory) i papier toaletowy. Ten ostatni artykuł budzi zdumienie wśród większości ludzi i prowokuje niewybredne żarty.

Tymczasem liczba chorych na nową chorobę w kraju z dnia na dzień rośnie. 20 marca było już 425 przypadków w tym 5 śmiertelnych. Od tego też dnia w całej Polsce obowiązuje stan epidemii. Wprowadzono nowe obostrzenia. Obowiązek pozostania w domu z wyjątkiem zaspokajania potrzeb bytowych (tzn. można wychodzić po zakupy, do pracy, do lekarza). Krótki spacer był jeszcze dopuszczalny, ale przemieszczać się można w grupie nie większej niż dwie osoby. Nowe przepisy zakazują także wszelkich zgromadzeń, spotkań, imprez czy zebrań.

We mszy może uczestniczyć nie więcej niż pięć osób. Szkoły mają do świąt wielkanocnych prowadzić nauczanie zdalne. W autobusach może podróżować tyle pasażerów, ile wynosi połowa miejsc siedzących. Nastroje osiągają ekstrema od totalnego bagatelizowania zagrożenia po „przesadny” strach. Kto może, lub komu pozwolą zwierzchnicy, pracuje zdalnie w domu. Tu najwięcej szans mają oczywiście informatycy. Wiele osób idzie na zwolnienia z tytułu opieki nad dziećmi lub zwykłe L4. Zaczynają się także masowe zwolnienia. Jeszcze nie w Złotoryi, ale nikt nie ma wątpliwości, że nadchodzi globalny kryzys gospodarczy, który dotknie prawie wszystkie branże i z którego długo będziemy się „leczyć”.

Ciężko przestawić swoje przyzwyczajenia na nowe tory. Znajomi ciągle podchodzą i w ostatniej chwili cofają wyciągniętą do przywitania dłoń. Nie wolno. Zwyczaj stukania się łokciami jakoś się nie przyjął, od początku kojarzył mi się z wygłupami. Ciągle też zapominam o ubieraniu rękawiczek, a w maseczce się duszę. W domu trudno wysiedzieć, zwłaszcza jak pogoda jest cieplejsza, za czym wszyscy tęsknimy o tej porze roku. Z mediów słane są co pół godziny apele: zostańcie w domu! Gramy dla was! Ale gdy włączam swoje ulubione radio, nie ma w nim żadnej stałej audycji, które tak uwielbiałem. Poza tym, że z radia odeszli znakomici redaktorzy w geście solidarności z Anną Gacek, to ramówka została zupełnie zmieniona. Teraz, gdy je włączam, to czasami, aż chce się wyjść z domu.

Może wyjść? Tylko na pół godziny? No i niespodziewanie zapełniają się promenady, parki i place zabaw. W Złotoryi już w połowie marca na każdym miejskim placu zabaw i zewnętrznej siłowni plenerowej powieszone zostały ostrzeżenia i prośby o niekorzystanie z tych obiektów.

31 marca w kraju zarażonych COVID-19 jest już 2.215 osób, w tym 32 osoby zmarły. Dwa dni później te liczby to 2.946 i 57. Zgodnie z przewidywaniami liczba zarażonych wzrasta w sposób geometryczny. Dopiero 2 kwietnia pojawia się pierwszy przypadek zachorowania mieszkańca powiatu złotoryjskiego, przebywającego akurat w szpitalu w Jeleniej Górze. Ponieważ jest zakaz odwiedzin, chory nie kontaktował się z nikim z bliskich, natomiast sam zaraził się właśnie w szpitalu. W samym powiecie na kwarantannie przebywa w tym czasie 230 osób, z czego 215 w związku z powrotem zza granicy po 15 marca. Burmistrz ostrzega, że jedna zarażona osoba może spowodować zakażenie 8 tysięcy osób w czasie dwóch tygodni. Zgodnie z powszechną opinią najwięcej umiera ludzi starszych i tych z chorobami przewlekłymi. Okazuje się, że jest ich całkiem sporo w moim środowisku. Młodsi ode mnie przyznają się do różnych dolegliwości i to oni właśnie boją się najbardziej. Nie podnoszą na duchu kolejne informacje o tzw. cichych nosicielach wirusa, którzy chorują bezobjawowo i nie są zdiagnozowani, bo testy wykonuje się tylko osobom z objawami i politykom. Testów na życzenie oficjalnie się nie robi. W szpitalach nie jest bezpiecznie. Oddział chirurgiczny w Legnicy został zamknięty, bo wirusa przyniósł tam lekarz, który pracował także we Wrocławiu. Lekarze, pielęgniarki, ratownicy medyczni, policjanci, strażacy to współcześni bohaterowie. Narażając własne życie, walczą o to, żeby epidemia miała jak najmniejszy zasięg. W jednorazowych rozgrzanych kombinezonach pracują po kilka godzin, mało jedzą, mało śpią, skórę mają zniszczoną od płynów dezynfekujących, odparzone twarze od maseczek. Codziennie słyszymy, że kolejne ich grupy zostają wyeliminowane z tej walki. Niejednokrotnie, nie chcąc narażać swoich rodzin, wybierają samoizolację. Co szósty zarażony to lekarz. „Więcej testów” grzmią profesorowie specjaliści od wirusologii. „Test, test, test!” krzyczy światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Od 1 kwietnia wprowadzono kolejne ograniczenia. Do odwołania każda osoba do 18. roku życia z domu może wyjść tylko pod opieką dorosłego opiekuna, a plaże, parki, bulwary, czy place zabaw są zamknięte. Za złamanie zakazów grozi kara od 5 do nawet 30 tys. zł. Wyjść z domu można TYLKO do pracy, sklepu, lekarza. Nie można odwiedzać rodziny, chodzić na spacery, myć samochodów – sypią się kary. Odstęp między pieszymi musi wynosić co najmniej dwa metry. Oprócz tego zawieszono działalność salonów fryzjerskich, kosmetycznych i tatuaży. Zmieniono zasady robienia zakupów w sklepach stacjonarnych. W sklepie obowiązkowo trzeba mieć jednorazowe rękawiczki (zapewnia sklep) i zakupy mogą robić tylko trzy osoby na jedną kasę. W dużej Biedronce, która ma 5 kas może przebywać tylko 15 klientów, w Dino (dwie kasy) 6 klientów. Tworzą się charakterystyczne kolejki przed sklepami z osobami stojącymi od siebie w dwu-trzymetrowych odstępach. Zakupienie zwykłej flaszki może teraz zająć całą godzinę. Z mediów słane są apele: nie kupujcie na zapas, żywności wystarczy. Ale teraz musimy ograniczyć wyjścia do sklepów i znowu wyjeżdżają z nich pełne kosze, no i święta za pasem. Wprowadzono godziny od 10.00 do 12.00, w których zakupy mogą robić tylko seniorzy. *„Nie obsłużyli mnie!”* oburzyła się pewnego razu moja znajoma, która chciała sobie kupić bułkę na śniadanie. Była 11.30. *„W sklepie przy kasie była tylko jedna emerytka, poza tym pusto.”* – mówi. No bez przesady!

Nasze uporządkowane, wygodne codzienne życie spowodowało, że zaczęliśmy uważać za najważniejszy „życiowy” problem to, jak spędzać wolny czas, gdzie znaleźć rzetelną firmę remontową, skąd wziąć „świeżą” rybę na sushi, i wreszcie cytując: „…mieć zimną wodę osobną, ciepłą osobno, szczelne rurki, kafelki, duperelki, kraniki, dywaniki…”*. A bohaterów szukamy w trudnych czasach wojennych i powojennych. Życie wszystko weryfikuje, tragicznie i niespodziewanie. Według kalendarza Azteków koniec świata miał nastąpić w roku 2012, albo oni nie uwzględnili lat przestępnych, albo ewidentnie źle odczytano datę. Jest początek kwietnia, „peak” (szczyt) zachorowań ciągle przed nami. Ilu Polaków umrze, ilu złotoryjan, ilu znajomych? Muszę kończyć, ktoś kichnął w kuchni i słyszę jak aerozol zbliża się do mnie…, czy zdążę dobiec do maski?!

Tekst: Jarosław Jańta
Fot. Agnieszka Młyńczak

*Kabaret „Dudek” skecz: „Ucz się, Jasiu”.

Zarazy w Złotoryi - cz. 1

Morowe powietrze, siedmiu ocalonych i kamień zarazy

Pierwsze informacje o śmiercionośnych epidemiach, które dotykały nasze miasto, pochodzą z XV wieku. Kronikarze zanotowali, że w 1483 r. o mały włos nie dotarła tutaj zaraza, która na Śląsku pochłonęła 450 ofiar. W **1497** r. było już o wiele gorzej: w ciągu 14 tygodni poniosło śmierć 1700 złotoryjan w różnym wieku, a w najgorszym dniu aż 308.

Najtragiczniejszym okresem w dziejach Złotoryi był pod tym względem rok **1553**, który zamienił miasto w kostnicę. Przyczyny tkwiły być może w roku poprzednim, gdy zapanowała tak wielka drożyzna, że biedniejsi zaspokajali głód niezdrową żywnością i niejednokrotnie po prostu odpadkami. Już wtedy wielu np. uczniów gimnazjum, kierowanego przez rektora Valentina Trozendorfa, musiało opuścić miasto z braku środków do życia. Osłabione organizmy były bardzo podatne na "morowe powietrze", które w lipcu przyniosło straszliwą dżumę.

Dokładny opis tej epidemii zawdzięczamy naocznemu świadkowi, nauczycielowi Martinowi Tabornusowi, który objął schedę po Trozendorfie (relacja w przekładzie Alfreda Michlera): **"W roku 1553 wybuchła wśród miejscowej ludności groźna epidemia, która najszybciej rozszerzała się w okresie sianokosów. Rozprzestrzenianie się zarazy było dla ludzi przekleństwem. Ci, którym udało jej się oprzeć, udawali się do innych miejsc, niektórzy zatrzymywali się w ukryciu na przedmieściach, biedni musieli pozostać i próbowali przeciwstawić się niebezpieczeństwu. Zapasy, szczególnie żywności, były skąpe. Sąsiednie miasta, także gospodarze z wiosek pomagali biednym, ale potrzebującym i chorym nie zawsze dało się uniknąć niebezpieczeństwa. Nieraz zaraza zabierała w ciągu jednej nocy wszystkich mieszkańców domu. Inni, którzy jeszcze zachowali zdrowie, obawiali sie odwiedzać chorych, więc ci, będąc zaniedbanymi, umierali z pragnienia i głodu. Grabarze zmarli na samym początku i z tego powodu zmarli pozostawali niepogrzebani w upale nieraz cztery dni. Dlatego unosił się straszny i nie do wytrzymania fetor, który zarazę wzmacniał i pomnażał. Z wielką trudnością i po zaproponowaniu sowitej zapłaty, ponieważ praca była bardzo niebezpieczna, udało się pozyskać innych grabarzy. Wielokrotnie w ciągu jednej doby umierało ponad 50 mieszkańców. Nie byli oni pojedynczo niesieni do grobu na noszach, lecz w wielkich skrzyniach wiezieni na wózkach. Nie można ich było również pojedynczo lub po kilka osób pochować razem, ale wykopywano głębokie doły i w nich grzebano wiele osób, a kiedy dół był już pełen, zasypywano go. Zapełniono trzy takie wielkie rowy. To wymieranie trwało przez lato, jesień, aż do zimy. W czasie zimy powrócili do domów ci, którzy przedtem uciekli. Kiedy szło się ulicą, widziało się jedynie niewiele otwartych domów, ponieważ wszyscy w nich poumierali. Na rynku tu i ówdzie powyrastała trawa. Liczba zmarłych wyniosła powyżej dwóch i pół tysiąca; w większej części zostali oni pochowani na Górze św. Mikołaja. [...] Nędza, spowodowana bożym gniewem była wielka, ale swoją łaskę Bóg ukazał w tym, że kościół [NNMP - RG] i ratusz ocalały. Ksiądz Georgius Tilenus i burmistrz Laurentius Cirklerus dzięki opiece boskiej zachowali w tym niebezpieczeństwie życie. W kościele odbywały się codziennie krótkie kazania i modlitwy. Ludzie byli nawoływani do cierpliwości: powinni krzyż cierpliwie znosić, uznać siebie winnymi i oddać się Bogu, w życiu i przy śmierci pocieszać się Panem Bogiem, aby po chwilowym przygnębieniu, zgodnie z obietnicą bożą, zasłużyć na życie wieczne. Taka wizja była dla zdrowych i chorych, którzy przed oczyma nie mieli nic innego jak tylko śmierć, najwspanialszym i największym pocieszeniem. I ci, którzy wskutek choroby nie postradali zmysłów, przychodzili do kościoła z wielką ochotą, niektórzy nawet na czworakach, słuchali gorliwie Słowa Bożego i ratowali swoje dusze, przyjmując sakramenty. Wówczas było się pobożnym i żyło się w bojaźni Boga, bo śmierć stała przed oczyma i była wszechobecna.**

Siedmiu ocalałych w 1553 r. - rycina z 1911 r.

Niemało pojawiło się także złoczyńców, w większości nie ze Złotoryi; trzymali się oni blisko grabarzy i pili z nimi, jak to było w zwyczaju tej kompanii. A ponieważ w ich życiu nie mieli innych zmartwień, nie obawiali się Boga ani aktualnego niebezpieczeństwa, trzymali się razem, starali się w ratuszu lub wymarłych domach coś znaleźć, włamać się i ograbić, ale Bóg zachował burmistrza, który zagrabione rzeczy im odebrał, ich nakazał ująć, osadzić w więzieniu i według popełnionych czynów ukarać.

Szkoła wkrótce rozeszła się. Miejscowi z powodu niebezpieczeństwa nie mogli przebywać razem, toteż i przybysze odchodzili. Odeszli w ciągu jednego dnia, ponieważ poprzedniej nocy zmarł jeden z uczniów, Johann Buchner z Krosna [...]. Widoczne więc było, że zaraza jest obecna i dlatego rektor Valentin Trozendorf wszystkim zezwolił, aby szkołę opuścili. Niektóre lekcje odbywały się nadal w kościele, na wyższym chórze [Trozendorf przypuszczał, że im wyżej, to powietrze jest zdrowsze; być może chodzio pomieszczenie na I piętrze dużej wieży - RG], dla tych, którzy jeszcze nie odeszli [...].

Kapłan Bartholomäus Gebhard, który na początku epidemii był jeszcze w służbie, też wkrótce zachorował i utracił zmysły. Został jednak doprowadzony do swojego miasta, do Zittau, gdzie dzięki łasce Boga chorobę przezwyciężył i wyzdrowiał. Po nim służbę objął złotoryjanin Hans Beyer, przeżył jednak niecałe 10 tygodni, jak zaraza i Bóg zabrały go do siebie [...]".

Trozendorf wraz z garstką uczniów schronił się najpierw w Lwówku a potem przeniósł szkołę do Legnicy, gdzie zmarł w 1556 r. Według Tabornusa, jak czytaliśmy, nie wszystkich pochowano na cmentarzu wokół kościoła św. Mikołaja – miejsce(a) innych "morowych" pól pozostają zagadką.

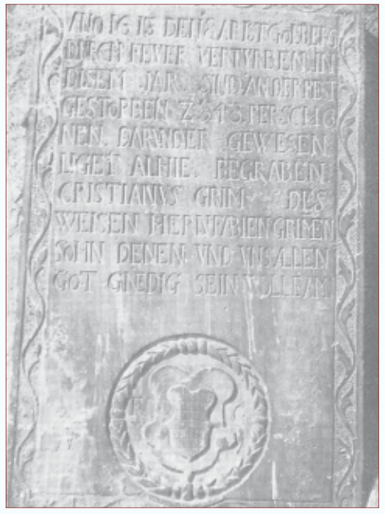

Kamień zarazy z 1613 r., fot. Jan Bryś

Wigilijna noc 1553 r. przyniosła jednak wydarzenie pełne nadziei. To właśnie wtedy spotkać się miało w Rynku (a może najpierw przy kościele Mariackim) siedmiu ocalałych mieszczan, między innymi burmistrz, aby pobożnymi pieśniami podziękować za wybawienie. Stąd wywodzimy, jak wiadomo, tradycję corocznych wspólnych wigilijnych śpiewów. Nie zapominajmy jednak, że w lipcu 1554 r. spustoszył prawie całe miasto wielki pożar – nie tylko wtedy, jak jeszcze zobaczymy, owe klęski żywiołowe chodziły parami.

Spokój trwał zaledwie cztery lata, w **1558** r. kolejna zaraza (której ognisko lokalizują kronikarze na ówczesnej ul. Wilczej – Wolfsgasse, dzisiaj Bohaterów Getta Warszawskiego) zabiła "zaledwie" 100 osób. Bliżej nieokreślona ciężka choroba pojawiła się także w **1594** r. Z kolei w **1599** r. zaraza rozprzestrzeniła się najpierw na ul. Nowej (Neugasse – dzisiaj Staromiejska), zagrodzenie tej ulicy parkanem z desek zapobiegło epidemii, zmarło tylko 14 osób, które podobno piły zatrutą wodę.

Po opisanych do tej pory wydarzeniach nie pozostały w mieście żadne namacalne ślady (nie licząc, oczywiście, kronik i tradycji). "Na szczęście" w **1613** r. najpierw w kwietniu wybuchł ogromny pożar, a następnie przyszła kolejna zaraza. Proszę autora źle nie zrozumieć – to "szczęście" polega na tym, że zamożna rodzina Grimmów, która była właścicielem folwarku, położonego na końcu dzisiejszej ul. Piastowej, ufundowała epitafium (zwane również kamieniem zarazy), które możemy oglądać po lewej stronie obok wejścia do wieży widokowej kościoła Mariackiego: **ANo 1613 DEN 8 AP IST GOLDBERG/ DVRCH FEVER VERTVRBEN. IN/ DISEM JAR SIND AN DER PEST/ GESToRBEN 2348 PERSCHO/NEN. DARVNDER GEWESEN/ LIGET ALHIE BEGRABEN./ CHRISTIANVS GRIM DES/ WEISEN HERN FABIEN GRIMEN/ SOHN DENEN VND VNS ALEN/ GOT GNEDIG SEIN WoLLE AMN.**

W roku 1613, 8 kwietnia Złotoryja została zniszczona przez pożar. W tym samym roku podczas zarazy zmarło 2348 osób. Wśród nich był pochowany tutaj Christian Grimm, syn Fabiana Grimma. Im obydwu i nam wszystkim niech Bóg będzie łaskawy. Amen.

Kamień zarazy z 1613 r. ma wielką wartość historyczną – jest dziełem naocznych świadków tych dwóch nieszczęść i dlatego możemy bez zastrzeżeń przyjąć podaną w inskrypcji liczbę ofiar epidemii. Z innych historycznych przekazów wiemy, że byli wśród nich również uczniowie gimnazjum (tak się złożyło, że w 1614 r. pastwą pożaru padnie budynek szkoły).

Podczas wojny trzydziestoletniej (1618-1648) przemieszczające się wojska roznosiły różne choroby w całej Europie. Protestanccy kronikarze złotoryjscy winili za to głównie oddziały katolickie a najtrudniejszym miał być rok **1627**. W **1640** r. na ospę zmarło w krótkim czasie kilkoro dzieci, a zimą **1641** r. "dużo" ludzi, zwłaszcza chłopów, którzy schronili się w mieście pochłonęła kolejna epidemia.

Juan de Valdés Leal, olej na płótnie, 1672 r.

W następnym odcinku zdamy relację z epidemii w XVIII i XIX wieku. Jedną z ilustracji jest obraz Juana de Valdés Leala z 1672 r. Tak opisuje jego treść historyk sztuki, Leszek Śliwa: "Gigantyczny szkielet z trumną pod pachą i kosą w ręku gasi kościstą dłonią świecę symbolizującą życie. To oczywiście alegoria śmierci. Nad świecą widnieje napis po łacinie, który nadał tytuł obrazowi: "In ictu oculi" (w mgnieniu oka). Przerażający kościotrup depcze globus, ukazując w ten sposób powszechność i uniwersalność śmierci, która wszystkich czeka, a często przychodzi w mgnieniu oka, niespodziewanie przerywając życiowe plany. Obraz wypełniają rozrzucone na grobowcu i wokół niego przedmioty symbolizujące władzę, potęgę i bogactwo doczesnego świata, które w mgnieniu oka stają się bezużyteczne. Na grobowcu z lewej strony leżą atrybuty dostojników kościelnych (sutanna papieska, tiara, infuła, kapelusz kardynalski, krzyż papieski i pastorał), a z prawej dostojników świeckich (korony – cesarska i królewska, czerwony płaszcz królewski, berło i łańcuch Orderu Złotego Runa). Przed grobowcem z lewej strony widzimy księgi kojarzone z uczonymi, a z prawej przedmioty symbolizujące rycerzy (rapier i zbroja)".

Roman Gorzkowski

Uczniowie w czasach zarazy

Dla młodych ludzi, którzy nie cierpią szkoły i nie lubią się uczyć, zaraza może być wybawieniem. Potwierdza to **relacja Hansa Schweinichena (ur. 1552 - zm. 1616) , 11-letniego ucznia gimnazjum złotoryjskiego w latach 1562-1563.** Dla tego panicza-nicponia, zachorowanie na febrę i potem wybuch epidemii czerwonki w Złotoryi, stały się skutecznym sposobem na zakończenie męczącej edukacji. **W swoim pamiętniku tak to przedstawił:**

[...] Byłem pilnie uczony przez pięć kwartałów roku, więc do mojej wcześniejszej wiedzy najróżniejszych nowości się nauczyłem, że mogłem nawet wyrażać podstawowe rzeczy po łacinie. Ponadto potrafiłem na połowie kartki zapisać argumenty. Nie obszedłem się jednak pewnego razu w Złotoryi bez dostania lania od Magistra Zachariasza Bartha, który szczególnie dokładnie koncentrując się na palcach, uderzył mnie raz prętem w rękę, gdy nie nauczyłem się mojego Terencjusza i powiedział: naucz się następnym razem, albo będę musiał ściągnąć twoje spodnie!

*Ale ponieważ, zawsze miałem w pamięci życie dworskie, co je wcześniej i wystarczająco poznałem, większą miałem ochotę do konia, niż do książek. I moje serce myślało więcej o wolnym życiu, niż o pilnym studiowaniu. Dlatego dalej robiłem wszelakie sztuczki, aby wydostać się ze Złotoryi. Jednak to wszystko nie miało żadnego powodzenia przy moim ojcu, chcącym jeno zawsze oglądać mnie chętnego do nauki. Gdy jednak ja nie bardzo chciałem, nakazał już panom nauczycielom zakupić dla mnie solidnego pręta. **Ale w końcu dostałem febrę i zostałem sprowadzony do domu**, jednak to było tylko w połowie tak źle, ponieważ mogłem przecież w ten sposób powrócić do domu. **Wtedy właśnie miałem z nauką ostatecznie skończyć: gdyż w Złotoryi zapanowała [jesienią 1563 r.] czerwonka**. A zatem zatrzymał mnie mój ojciec w domu, i tam zdołałem zapomnieć w dwa tygodnie, czego nauczyłem się w pięć kwartałów.*

[...] Na pewno byłoby lepiej, gdybym moją niepoukładaną głowę zdołał uporządkować, i w dalszym ciągu bym kontynuował studia, jak mój ojciec i mój nauczyciel chcieli. Tak jednak zdołałem, jak uprzednio donosiłem, wrócić ze szkoły do domu i poświęciłem się ze szczególnym upodobaniem szlachetnemu myślistwu. Codziennie jeździłem konno z krogulcem, albo na gęsi lub kaczki zastawiałem sidła, bądź z chartami na nie nacierałem. Gospodarstwo chętnie doglądałem wraz z ojcem, jeździłem z nim też konno, a także w innych wycieczkach mu towarzyszyłem jako Panicz. Także ćwiczyłem się w niemieckim pisaniu i ojcu odpisywałem wszelkie jego listy i inne skrypta. Żaden więc człowiek nie może mi zarzucić próżniactwa, bo przecież zawsze byłem zajęty. [...].

Damian Komada

Źródło cytatu: *Lieben, Lust und Leben der Deutschen [...], Ritters Hans von Schweinichen, hrsg. Georg Büsching, Bd. 1, Breslau 1820, s. 43-47.*

Złotoryjskie zagadki

Krwawa scena

Informujemy od razu, że przedstawiona płaskorzeźba nie znajduje się w Złotoryi lecz w Świdnicy. Przedstawia śmierć jednego z najbardziej znanych świętych, którego kult rozprzestrzeniał się od XV wieku głównie w Czechach, Polsce i w krajach niemieckich. Prosimy o wskazanie miejsca, gdzie w naszym mieście zobaczyć można bardzo podobną scenę, z jakiego czasu pochodzi nasz zabytek oraz nadesłanie jego fotografii. Powodzenia w poszukiwaniach!

Roman Gorzkowski

27.02.2020 r. na stronie www Urzędu Miejskiego w Złotoryi opublikowano informację Głównego Inspektora Sanitarnego dla osób powracających z północnych Włoch.
5.03.2020 r. W związku z pojawieniem się w Polsce koronawirusa wojewoda dolnośląski wydał decyzję w sprawie obowiązku wprowadzenia przez szpitale zakazu odwiedzin pacjentów. Na liście znalazły się także złotoryjskie placówki.
6.03.2020 r. w Urzędzie Miejskim w Złotoryi Punkt Informacyjny Funduszy Europejskich zorganizował indywidualne konsultacje o możliwości pozyskania środków z Unii Europejskiej w ramach: Mobilnego Punktu Informacyjnego w Złotoryi.
11.03.2020 r. na stronie www Urzędu Miejskiego opublikowano informację Głównego Inspektora Sanitarnego dla seniorów.
11.03.2020 r. w związku ze wzrostem zagrożenia zarażeniem się koronawirusem, Burmistrz Złotoryi zawiesza do odwołania wszystkie imprezy kulturalne, sportowe (w tym wyjazdy na basen do Chojnowa) oraz inne uroczystości organizowane przez jednostki podległe Gminie Miejskiej Złotoryja.
11.03.2020 r. Gmina Miejska Złotoryja rozpoczyna rekrutację do przedszkoli i szkół podstawowych.
12.03.2020 r. na podstawie polecenia Wojewody Dolnośląskiego z 11 marca 2020r. w celu zapobiegania rozprzestrzenianiu się choroby zakaźnej COVID-19 wywołanej wirusem SARS-CoV-2 czasowo zawieszona zostaje działalność Klubu Senior+ i Środowiskowego Domu Samopomocy w Złotoryi.
13.03.2020 r. Urząd Miejski w Złotoryi oraz wszystkie jednostki komunalne rozpoczynają pracę w trybie wewnętrznym i zostają zamknięte dla dostępu mieszkańców od 13 marca do odwołania.
13.03.2020 r. ogłoszono na obszarze Rzeczypospolitej Polskiej stan zagrożenia epidemicznego.
16.03.2020 r. zostały zamknięte wszystkie szkoły.
16.03.2020 r. Urząd Miejski w Złotoryi przedłużył terminy wpłat. Część podatków dla miasta można uregulować później.
17.03.2020 r. Przychodnia Rejonowa w Złotoryi, ze względu na sytuację epidemiologiczną do odwołania wstrzymuje wszystkie planowe wizyty lekarskie.
20.03.2020 r. ogłoszono na obszarze Rzeczypospolitej Polskiej stan epidemii.
25.03.2020 r. z uwagi na czasowe ograniczenie funkcjonowania placówek oświatowych w związku z zapobieganiem, przeciwdziałaniem i zwalczaniem COVID-19, Burmistrz Miasta Złotoryja wprowadził nowe terminy przeprowadzenia rekrutacji do publicznych przedszkoli i do klas I publicznych szkół podstawowych.
26.03.2020 r. w związku z epidemią koronawirusa (COVID-19) Miasto Złotoryja wprowadziło „Pakiet Pomocy dla Złotoryjskich Przedsiębiorców".
31.03.2020 r. Miejska Biblioteka Publiczna rozpoczęła cykl czytania bajek pod hasłem „Przerwa na bajkę". Codziennie w sieci udostępniana jest nowa bajka.
2.04.2020 r. sanepid ogłosił pierwszy przypadek zakażenia SARS-CoV-2 w powiecie złotoryjskim.
8.04.2020 r. po raz pierwszy w dziejach miejskiego samorządu XVIII Sesja Rady Miejskiej w Złotoryi odbyła się zdalnie, w formie wideokonferencji.
10.04.2020 r. Złotoryjski Ośrodek Kultury i Rekreacji rozpoczął na swojej stronie facebookowej nowy cykl promujący ciekawe lektury, filmy czy koncerty.
16.04.2020 r. sanepid ogłosił pierwszy przypadek zakażenia SARS-CoV-2 w Złotoryi, to młoda kobieta.
16.04.2020 r. wszedł w życie obowiązek zakrywania ust i nosa w miejscach publicznych. Obowiązują nadal: ograniczenia w przemieszczaniu się, zakaz wychodzenia z domu nieletnich bez opieki dorosłego, ograniczenia w wydarzeniach o charakterze religijnym – w kościołach może przebywać maksymalnie 5 osób. Zasada obowiązywała również podczas minionych świąt. Ograniczenia w funkcjonowaniu galerii handlowych i wielkopowierzchniowych sklepów budowlanych, zasady w poruszaniu się przy pomocy komunikacji publicznej i samochodami większymi niż 9-osobowe, zawieszenie działalności zakładów fryzjerskich, kosmetycznych, tatuażu itd., zakaz korzystania z parków, lasów, plaż, bulwarów, promenad i rowerów miejskich, zamknięcie restauracji, ograniczenia dotyczące liczby osób w sklepach, na targach i na poczcie, ograniczenia w działalności instytucji kultury (w kinach, teatrach itp.), zamknięcie szkół, uczelni, przedszkoli i żłobków, zamknięcie pasażerskiego ruchu lotniczego, międzynarodowego ruchu kolejowego, zamknięcie granic (prawo do przekraczania polskiej granicy mają m.in. obywatele RP, cudzoziemcy, którzy są małżonkami albo dziećmi obywateli RP, osoby posiadające prawo stałego lub czasowego pobytu na terenie RP lub pozwolenie na pracę), obowiązkowa kwarantanna dla osób przekraczających granicę z Polską. Do odwołania obowiązują ograniczenia w zakresie organizacji imprez masowych i zgromadzeń.
16.04.2020 r. do złotoryjskich podstawówek trafił sprzęt komputerowy do zdalnej nauki za 70 tys. zł (30 laptopów), z programu „Zdalna Szkoła".
17.04.2020 r. Urząd Miejski w Złotoryi wyłącza zasilanie lamp w obrębie terenów zielonych i rekreacyjnych.

Opracował Jarosław Jańta

„Rota" - w hołdzie Żołnierzom Wyklętym

Żołnierze Wykleci, Żołnierze Niezłomni..., ileż lat musieli czekać na honorowe ich upamiętnienie, na oddanie im należnej czci, na odnalezienie ich szczątków w zbiorowych mogiłach i godny pochówek!

Byli nazywani faszystami i kolaborantami Hitlera. Pamięć o nich przez lata była tłamszona i zakłamywana. Pojawiały się wciąż nowe zarzuty i oskarżenia mające zniweczyć ich zasługi.

A jakaż była ich „wina"? Nie złożyli broni po zakończeniu II wojny światowej. Nie godzili się na to, że miejsce niemieckiego okupanta zajęli Sowieci. Pomimo ogromnych dysproporcji sił postanowili walczyć o niepodległość Polski. Składali przysięgę na wierność Rzeczpospolitej, a wartości „Bóg, Honor, Ojczyzna" niezłomnie bronili do końca. Chronili polską ludność przed sowieckim terrorem – mordami, grabieżami, gwałtami, nie dali się złamać czerwonemu najeźdźcy czy to trwając na posterunku w lesie, czy zachowując godną postawę w śledztwie. Umierając mówili, że to za wolną Polskę i za wiarę w Boga. Ponad 20 tysięcy Żołnierzy Niezłomnych zginęło z bronią w ręku, kolejne dziesiątki tysięcy trafiły do katowni NKWD, UB czy obozów pracy w Polsce lub w Związku Sowieckim

Dziś staramy się o to, aby w końcu przestali być Żołnierzami Wyklętymi, byśmy mogli ich nazywać już tylko Żołnierzami Niezłomnymi. Musimy przywrócić im należne miejsce w świadomości następnych pokoleń i zadbać o to, aby mogli spoczywać otoczeni czcią żołnierzy antykomunistycznego i niepodległościowego podziemia.

Od 2011 roku w dniu 1 marca obchodzimy powołany ustawą Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Zawdzięczamy to ś.p. prezydentowi RP Lechowi Kaczyńskiemu, który był inicjatorem ustanowienia tego święta państwowego, choć nie dane mu było go doczekać z powodu tragicznej śmierci w Smoleńsku w 2010 roku. Data 1 marca jest nieprzypadkowa. 1 marca 1951 roku w więzieniu na warszawskim Mokotowie, po pokazowym procesie, zostało rozstrzelanych siedmiu członków niepodległościowego IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość".

W tym roku Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych obchodziliśmy w Polsce już po raz dziesiąty. I w naszym mieście towarzyszyło mu szczególne wydarzenie. W kościele p.w. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny odsłonięta została tablica pamiątkowa poświęcona Niezłomnym, aby, jak na niej napisano, *„oddać hołd tym wszystkim, którzy w latach 1944 – 1963 oddali życie w walce z komunistycznym zniewoleniem"*.

Za pomysł i realizację odpowiedzialny jest znany, bo działający już od 12 lat w naszym mieście, Zespół Artystyczny Żołnierzy Rezerwy „ROTA". Formacja muzyczna uświetnia swoimi koncertami wiele istotnych uroczystości w Złotoryi i województwie. Skupiając się szczególnie na celebracji świąt narodowych, ma w swoim repertuarze wiele pięknych patriotycznych pieśni i słów poezji odnoszących się do ważnych wydarzeń z historii Polski.

Przez te 12 lat swojego istnienia zespół dał ponad 150 koncertów patriotyczno-religijnych, głównie na terenie Dolnego Śląska – w domach kultury, świątyniach oraz podczas różnych uroczystości plenerowych. Wydał w tym czasie dwie płyty kompaktowe CD z nagranymi piosenkami o tematyce żołnierskiej oraz dwie, z zarejestrowanymi koncertami live, płyty DVD. A wszystko zaczęło się w 2008 roku od koncertu „ROTY" w złotoryjskim kościele, poświęconego właśnie Żołnierzom Wyklętym, o których jeszcze niewiele mówiono w przestrzeni medialnej. Zespół jako zorganizowana grupa zaistniał wówczas po raz pierwszy i wiele się w nim od tego czasu zmieniło, ale pamięć o Niezłomnych jest w nim cały czas żywa.

Parę lat temu, jeden z „Rociarzy", Władysław Grocki, rzucił myśl, aby ufundować tablicę pamiątkową ku czci Żołnierzy Wyklętych. Myśl kiełkowała, kiełkowała... i w którymś momencie nabrała realnych kształtów. Dziesiąta rocznica ustanowienia święta wydawała się być idealnym urzeczywistnieniem tego projektu. Zespół podchwycił pomysł, zaczęto zastanawiać się nad miejscem usytuowania tablicy. W kościele? Dlaczego nie? Będzie to z pewnością zacna lokalizacja! Ksiądz proboszcz przyklasnął tej inicjatywie i wskazał godne dla niej miejsce.

Zespół postanowił zająć się realizacją całości przedsięwzięcia. Prezes stowarzyszenia ZAŻR „ROTA" Stanisław Kubicz opracował projekt tablicy i po skonsultowaniu go z komendantem Jednostki Poszukiwawczo-Ratowniczej „Baryt" w Stanisławowie Janem Kuskiem oraz księdzem proboszczem Stanisławem Śmigielskim przystąpiono do następnego etapu działań. Kolejny członek „ROTY", Franciszek Słaby, znalazł wykonawcę tablicy i nadzorował jej przygotowanie. Udało się! Już gotowa została umieszczona na filarze bocznej nawy kościoła, zaproszenia na uroczystość jej odsłonięcia wysłane, scenariusz całego wydarzenia ustalony, wiec pozostało tylko czekać i szlifować szczegóły ceremonii.

1 marca 2020 roku – w dziesiątą rocznicę ustanowienia Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych, zgromadzeni w kościele p.w. Narodzenia Najświętszej Maryi Panny wierni i zaproszeni goście, parę minut przed godziną 15., wysłuchali krótkiego wykładu pana Tomasza Szymaniaka, historyka ze złotoryjskiego Liceum Ogólnokształcącego, na temat Żołnierzy Niezłomnych.

Następnie odprawiona została msza święta, której przebieg uświetnili trębacze oraz poczet sztandarowy z „Barytu". Jednostka ta wystawiła też honorową wartę przy tablicy w strojach żołnierzy niepodległościowego podziemia. Nadało to nabożeństwu uroczystego wojskowego charakteru. Msza celebrowana była przez księdza proboszcza Stanisława Śmigielskiego, a członkowie „ROTY" stanowili służbę liturgiczną ołtarza, czytali fragmenty Pisma Świętego, śpiewali psalmy. Byli oczywiście w mundurach wojskowych, więc wyglądało to naprawdę podniośle.

Po mszy świętej zaproszeni goście i parafianie przeszli do miejsca, gdzie została wmurowana pamiątkowa tablica. Prezes "ROTY" Stanisław Kubicz przeczytał akt jej odsłonięcia, w którym oddał hołd Żołnierzom Wyklętym, kończąc słowami: „Cześć i Chwała Bohaterom!" Następnie uroczystego aktu odsłonięcia tablicy dokonali: Senator RP - Dorota Czudowska, Proboszcz - ksiądz Stanisław Śmigielski, Komendant JPR „Baryt" - Jan Kusek i Prezes ZAŻR „Rota" Stanisław Kubicz. Ksiądz proboszcz tablicę poświęcił, a zebrane delegacje złożyły kwiaty lub zapaliły znicze. Wśród wiązanek pojawił się również bukiet z szarfą od Marszałek Sejmu RP, Elżbiety Witek, którą obowiązki zatrzymały w Warszawie, choć bardzo chciała przyjechać na tę uroczystość.

Ostatnim punktem obchodów święta był występ „ROTY". Zespół przygotował piękny montaż słowno – muzyczny poświęcony tragicznym losom Żołnierzy Wyklętych, podczas którego wzruszenie niejednokrotnie gościło na twarzach słuchaczy. Pieśni wykonane zostały z dużym ładunkiem emocjonalnym, głosy brzmiały dobitnie i przejmująco, z jednej strony - przybliżając trudną historię, z drugiej- oddając hołd i zapewniając o naszej pamięci. Za to podziękować należy pani Urszuli Regulskiej, która przygotowała scenariusz programu profesjonalnie, jak zawsze. No i oczywiście całemu zespołowi, wzorowo wykonującemu wszystkie utwory, tak że aż dłonie same składały się do oklasków. Szczególnie wzruszające momenty towarzyszyły wykonaniom pieśni takich, jak: *„Oskarżeni o wierność", „Biały Krzyż", „Inka", „Epitafium dla majora Ognia", „Przysięga" czy przejmujące „Wolność – Te Deum"*.

No i na koniec istna perełka... Zaśpiewała uczennica szkoły podstawowej Julia Fajkisz, która z przejęciem wykonała utwór „Uwierz Polsko". Wzruszenie słuchaczy stało się jeszcze większe, tym bardziej, że pod koniec tej pieśni dołączyli swoje głosy „Rociarze". Pięknie to razem zabrzmiało, ponieważ pokazało swoistą zmianę pokoleniową, w której starsi powinni korzystać z siły i energii młodości a młodzi z mądrości i doświadczenia, a także historii – starszych.

„Moja Ojczyzna to historia
pamięć o poległych za nasz kraj
pamięć o tysiącach bohaterów
Niezłomnych jak stal"...

Jeśli tak śpiewa najmłodsze pokolenie i wierzy w to, co śpiewa, to możemy spać spokojnie. Polacy nie zapomną o swojej historii, o przodkach i ich zrywach, o umiłowanej Ojczyźnie. Nie na darmo ubeckie więzienia pełne były krwi udręczonych, nie na darmo Inka „zachowała się jak trzeba", a Niezłomni ginęli z okrzykiem „Niech żyje Polska!"... Dlatego pamiętajmy o Nich.

Danuta Kubicz
Fot. Gazeta Złotoryjska

Mała wieś z wielką historią, czyli piknik w Jastrzębniku

O tym, że Jastrzębnik ma swoje miejsce w historii Dolnego Śląska, nie trzeba przekonywać tych, którzy interesują się przeszłością. Jest jeszcze ciągle wielu, którym jest to zupełnie obojętne – cóż taki ich wybór, lecz ja się z nim nie zgadzam. Nie wystarczy tylko pamiętać, że historia jest nauczycielką życia, trzeba pokusić się o konkretne działania. Tak wielu jeszcze sądzi, że wielka historia działa się gdzieś tam, gdzie rozgrywały się znane i dawno już zbadane wydarzenia. A przecież i tu, pod nogami, mamy miejsca ważnych wydarzeń, w których uczestniczyli nasi rodacy, pozbawieni wówczas niepodległej ojczyzny. Takim miejscem jest Jastrzębnik.

Kampanię napoleońską na Dolnym Śląsku należy podzielić na trzy etapy. Nie wgłębiając się w strategiczne i polityczne przyczyny, dla których Jego Cesarska Mość Napoleon I Bonaparte wydzielił spośród odbudowanej Wielkiej Armii – chociaż już nie tak wielkiej jak przed wyprawą na Moskwę - Armię Bobru. To jednak jednym z powodów była chęć dotarcia poprzez Dolny Śląsk do Księstwa Warszawskiego – gromiąc po drodze koalicyjną Armię Śląska i utrzymać Księstwo Warszawskie po zdradzie austriackiego korpusu księcia Karla Philippa Schwarzenberga we wpływach Cesarstwa Francji.

Na początku maja 1813 r. ponad stutysięczna Armia Bobru, dowodzona przez marszałka Neya, rozpoczęła marsz w ataku na obszarze od Bolesławca po Karkonosze, tocząc kilka zwycięskich bitew. Armia Śląska, unikając generalnej bitwy, wycofywała się, tocząc wiele potyczek. Jedną z nich była potyczka pod Chojnowem 26 maja 1813 r. Jest ona błędnie nazywana „bitwą pod Chojnowem". Był to z początku niewątpliwy sukces, jaki odniosły pruskie i rosyjskie oddziały nad zaledwie jedną francuską 16. Dywizję generała Nicolasa Josepha Maison, gromiąc przez zaskoczenie straże i tych, którzy jeszcze nie zdążyli ulokować się w okolicznych wsiach. Ciekawe, że też nikt nie chce pamiętać, jaki był końcowy rezultat tego starcia, bo wcale ono się nie skończyło jednego dnia. Gdy Napoleon dowiedział się o rozbiciu 16. Dywizji, następnego dnia przybył do Chojnowa i przejął dowodzenie Armią. Należy tu wspomnieć, że jeszcze gdy trwała walka owego 26 maja 1813 r., na pomoc 16. Dywizji Maisona wyruszył stacjonujący najbliżej walk 3. Pułk Piechoty Legionu Irlandzkiego Cudzoziemskiego z 17. Dywizji generała Puthod z polskimi kompaniami w swym składzie. Rezultatem odsieczy była generalna ucieczka wojsk pruskich i rosyjskich w stronę Legnicy. Wraz z Napoleonem pod Chojnów przybyła lekkokonna kawaleria Gwardii Cesarskiej, mając w swym składzie 1. Pułk Szwoleżerów – Lansjerów Gwardii Cesarskiej. Dwa szwadrony dowodzone przez Dezyderego Chłapowskiego i Seweryna Fredrę w pościgu przez Kwiatów i Lubiatów biorą niemal całą pruską dywizję piechoty do niewoli, przeganiając pruską kawalerię.

Tocząc jeszcze wiele potyczek, Armia Bobru przy wsparciu Cesarza w dowodzeniu dociera do Wrocławia i po ciężkiej walce – jak wspomina generała Martial Vachot, zajmuje Wrocław. Był 31 maja 1813 r. i rozpoczęły się rokowania rozejmowe. W ich wyniku pobita 16. Dywizja generała Maisona z V Korpusu generała Lauristona otrzymuje zadanie strzeżenia granicy rozejmu ustanowionego na Kaczawie, obozując w Jastrzębniku i Nowym Kościele. Generał Maison, będący ciągle jeszcze w niełasce u Napoleona, otrzymał chyba najbardziej trudne zadanie. To właśnie w rejonie rozmieszczenia jego Dywizji granica rozejmu z naturalnej przechodziła w sztuczną, a przez to trudną do kontrolowania, granicę lądową we wsi Różana. Blisko 9000 żołnierzy 16. Dywizji buduje na polach Jastrzębnika obóz wojskowy, składający się z szałasów z krzaków i gałęzi. Jakże to musiało być podłe mieszkanie w porównaniu z obozem w Nowej Wsi Grodziskiej i Wyskoku, gdzie obozy były zbudowane z drewnianych baraków z utwardzonymi drewnianymi belami drogami. Sam generał Maison lokuje się w pałacu w Nowym Kościele. 16. Dywizja Maisona kwaterowała tu do 10 sierpnia 1813 r., czyli do trzeciego etapu wydarzeń wojennych na Dolnym Śląsku.

O tych wydarzeniach dowiedzieli się mieszkańcy Jastrzębnika podczas pikniku historycznego, który zorganizowała dla mieszkańców sołtys Zofia Dertkowska 18 sierpnia 2019 r. Gdy latem ubiegłego roku spotkaliśmy się w Jastrzębniku i gdy idąc przez Jastrzębnik pani sołtys wytrzymywała moje opowiadanie o tamtych wydarzeniach, nie wykazując zniecierpliwienia i gdy widziałem, jak rośnie jej zdumienie i zainteresowanie, wiedziałem, że nie skończy się na jednym spotkaniu. Po krótkim czasie przyszła od Zosi wiadomość: - robię piknik historyczny na Kamiennej Górze, przyjedziesz? Nie było innej odpowiedzi, jak – oczywiście.

W ciepły, sobotni poranek wjechałem na umówione miejsce na zboczu Kamiennej Góry. Sympatycznie zagospodarowane miejsce piknikowe koła łowieckiego, z dala od zgiełku cywilizacji. Tu rozwiesiłem fotokopie map z 1814 r., ilustrujące wydarzenia kampanii napoleońskiej na Dolnym Śląsku. Dwie archiwalne plansze z naniesionymi ruchami wojsk obu walczących stron uzupełniłem narysowaną prze siebie planszą ilustrującą bitwę o Złotoryję. Jakoś tak w dziwny sposób ówcześni pruscy kartografowie zapomnieli o tej przegranej przez Rosjan i Prusaków bitwie, udając, że jej nie było. W ten oto sposób pomiędzy planszami historycznymi zawisła plansza uzupełniająca, narysowana w oparciu o dokumenty z epoki i opis zawarty w książce Mariusza Olczaka „Kampania 1813 Śląsk i Łużyce".

Jak na piknik przystało, zapłonęło ognisko, a Zofia Dertkowska wraz z paniami z Jastrzębnika rozłożyły przeróżne wiktuały na stołach. Z takim to widokiem i zapachem się zmagając, przyszło mi zacząć opowieść o walkach, marszach w ataku, wygranych i przegranych i o udziale Polaków, którzy 24 sierpnia 1813 r. wraz z 17. Dywizją generała Putchoda założyli obóz wojskowy na polach Jastrzębnika po zwycięskiej i ciężkiej bitwie o Złotoryję. Dzieci i dorośli rozsiedli się wygodnie na głazach Kamiennej Góry i z niekłamaną ciekawością wysłuchali opowieści nie całkiem starego wiarusa... Gdy skończyłem, trwające milczenie zdawało się mówić – to już? I co dalej? Właśnie dolatywał zapach piknikowej, pieczonej na ogniu kiełbasy. Po wielu pytaniach i objaśnieniu mojego munduru, dzieci zechciały przymierzyć czako, wziąć do ręki pistolet, pałasz. Nie mogło się obyć bez pokazowego wystrzału z pistoletu, oczywiście w sposób bezpieczny i tylko w moim wykonaniu. Rodzinny, piknikowy nastrój dokumentowali mieszkańcy Jastrzębnika, robiąc pamiątkowe zdjęcia. W pewnym momencie zupełnie niezapowiedziane dwie dziewczynki, stając na kamieniach Kamiennej Góry, zaczęły recytować z pamięci fragmenty książki Mariusza Olczaka o wydarzeniach, związanych z Jastrzębnikiem. Amelia Wojewódzka i Oliwia Kondracka zaskoczyły swym występem, wprowadzając szczególny nastrój - oto historia ożywiła się po ponad 200 latach. A potem były jeszcze opowieści przy stole. Czas spędzony między życzliwymi i przyjaznymi mieszkańcami Jastrzębnika jest już wspomnieniem, ale nie jest w mojej nadziei końcem tej przygody.

Było już ku wieczorowi, gdy wyposażony w podarunki – malinowy napitek i porcję wiktuałów domowej roboty, zwijałem swoje plansze. Ściskając się serdecznie ze wszystkimi myślałem sobie – dlaczego w Złotoryi nie może być tak miło i serdecznie, przecież to tylko kilka kilometrów od tego miasta? Ale chyba już nie chcę znać odpowiedzi na to pytanie, lepiej myśleć o przyjaciołach i ponownym z nimi spotkaniu – spotkaniu z dziejami miejsca, gdzie żyją, bo o to chodzi w rekonstrukcji historycznej.

Cezary Skała

Bóbr - źródło: dinoanimals.pl

Bóbr to największy gryzoń Eurazji: masa ciała dorosłego osobnika dochodzi do 29 kg, a długość do 110 cm. Pokrywa go gęste, miękkie i lśniące futerko. Włosy okrywowe u nasady są węższe, a szersze na końcach, co zapewnia izolację i większą siłę wyporu podczas pływania. Ogon bobra jest bardzo charakterystyczny – duży i spłaszczony, pokryty łuską. Podczas pływania pełni rolę steru, a na powierzchni służy bobrowi za podpórkę oraz do magazynowania tłuszczu. Do ścinania drzew bobry używają dwóch par siekaczy, które same się ostrzą i szybko odrastają w miarę ścierania. Są to duże zęby 10-12 cm, pokryte warstwą pomarańczowego szkliwa.

Żeremie tylko z pozoru przypomina kupę bezładnego chrustu. To bobrzy domek

Nory wykopane przez bobry na wysokim brzegu. Strzałka wskazuje na ślad, gdzie bobry zsuwają się do wody

Na tropach bobrów

– Dzień dobry, nazywam się Jakub Kurpiel, przysyła mnie nadleśniczy Jacek Kramarz. Mam być dzisiaj pani przewodnikiem i zawiozę panią w miejsce, gdzie jest bardzo widoczna aktywność bobrów. Pojedziemy do Świerzawy – zaprasza mnie do samochodu młody chłopak.

Z podleśniczym z leśnictwa Nowy Kościół Jakubem Kurpielem byłam umówiona na wyprawę od dawna, lecz dopiero teraz stało się to możliwe, gdy w połowie marca zaświeciło słońce i zrobiło się cieplej. Wymarzone warunki na tropienie bobrów, bo właśnie te zwierzęta dały znać o swojej obecności w wielu miejscach naszego powiatu.

Niecałe dwa kilometry od centrum miasta, na wyjeździe w kierunku wsi Rzeszówek, znajduje się staw Kamieńczyk, zarządzany przez koło Polskiego Związku Wędkarskiego w Świerzawie. Zasila go niewielki potok Kamiennik, który wpada do niedalekiej Kaczawy. Wokół akwenu siedzą w równych odstępach wędkarze, bo pogoda piękna i ryby biorą.

Pośrodku stawu pyszni się niewielka wysepka, na której bobry zbudowały sobie żeremie. Patrzymy przez lornetkę, może dojrzymy jakiegoś? Nie, to niemożliwe, bo to są w zasadzie zwierzęta nocne i bardzo lubią spokój.

Pan Jakub prowadzi mnie wzdłuż meandrującego potoku Kamiennik, gdzie będziemy szukać namacalnych śladów działalności bobrów.

W tym roku wiosna przyszła wcześnie, z suchych traw wyłaniają się całe łany zawilców gajowych i śnieżyc wiosennych. Jednak nasz wzrok przyciągają dziesiątki powalonych drzew i świeżo ścięte szczątki pni po obu stronach cieku. To głównie osiki i olchy – przysmaki bobrów, ale też twarde buki, graby, a nawet dęby. Na szczątkach pni widać wyraźnie ślady bobrzych zębów. Dzięki wyjątkowo mocnym siekaczom bobry potrafią ściąć nawet bardzo grube drzewa o średnicy do jednego metra, aby dostać się do cienkich gałązek. Są wegetarianami i zjadają każdą dostępną część rośliny – wiosną i latem rośliny zielne, zimą – korę, cienkie gałązki i łyko drzew liściastych. W poprzek potoku Kamiennik leżą bezładnie duże i małe drzewa z rozgałęzionymi koronami, tu i ówdzie na samym lustrze wody kupki gałęzi, mułu, darni i kamieni, tworzące tamy.

To królestwo bobrów. Te inteligentne zwierzęta są drwalami, architektami i hydrotechnikami. Nic dziwnego, stosunek masy mózgu bobra do reszty ciała jest najwyższy wśród gryzoni. Po przybyciu na dany teren pierwszym etapem ich prac na płytkich ciekach jest budowa tamy. Ma ona za zadanie spiętrzać wodę i ukrywać podwodne wejście do nor lub żeremi. Bobry używają do tego gałęzi, mułu, darni, albo kamieni i uszczelniają mułem. Budowle są niezwykle szczelne i wytrzymałe. Chcąc się o tym przekonać, wchodzę ostrożnie na tamę, trzymając się blisko brzegu. Trzyma! Idę krok dalej, tama ani drgnie. Fantastyczne! Ryzykuję podskok, bobrza tama lekko sprężynuje, ale nadal trzyma. Jestem pełna podziwu dla tych wyjątkowych zwierząt.

Podleśniczy Jakub Kurpiel opowiada: Wbrew pozorom bobry nie niszczą drzew, one je odnawiają. Na brzegach cieków rosną głównie wierzby, które nawet po ścięciu, gdy zostaje jedynie pień, odradzają się, wypuszczając nowe pędy. Można powiedzieć, że to drzewo nieśmiertelne. Poza tym wierzby zwiększają bioróżnorodność, a także wychwytują z gleby i wody metale ciężkie i toksyczne związki, oczyszczając środowisko.

Przedzieramy się przez suche zarośla, a podleśniczy Kuba pokazuje mi kolejne szczegóły, które wskazują na obecność rodziny bobrów.

– O tutaj, proszę popatrzeć. Zbudowały tamę, spiętrzyły wodę. Jaka jest woda przed tamą? Mętna i brudna, tak? A jaka spływa?

– Krystalicznie czysta! – odpowiadam z podziwem.

Mój przewodnik opowiada dalej:

– To jest właśnie jeden z dowodów na korzystne oddziaływanie bobrów na nasze środowisko. Oczyszczają wodę, w której pojawiają się ryby, za nimi przyjdzie wydra, czapla, bocian. A w rozlewisku pojawiają się mikroorganizmy, które przyciągają inne zwierzęta. I tak bobry tworzą bioróżnorodność. To zwierzęta ziemnowodne, lecz preferują wodne środowisko. Pod wodą mogą wytrzymać bez przerwy do 15 minut. Dlatego do bezpiecznego przemieszczania się drążą w rozlewiskach tunele.

Idziemy dalej wzdłuż Kamiennika, co chwila natykając się na kolejne dowody istnienia bobrów. Oto w odległości około dziesięciu metrów przed naszymi oczami pojawia się – na pozór – kupa bezładnego chrustu o wysokości około trzech metrów. To żeremie. Gałęzie tworzą dach, a w środku ponad poziomem wody znajduje się komora wyłożona suchym materiałem roślinnym oraz wiórami drzewnymi odrywanymi przez bobry ze ścinanych drzew. Od komory odchodzą korytarze-syfony z ujściem pod wodą. Taki bobrzy domek. Nazwa żeremie pochodzi od słowa żer, zatem jest to w zasadzie żerowisko. Żeremia często znajdują się pośrodku rozlewiska, trudno się do nich dostać suchą nogą, więc są bezpieczne. W nich gromadzone są gałązki na zimę, zwierzęta śpią za dnia, a wiosną samice rodzą młode.

Gdy brzegi cieków lub zbiorników wodnych są wystarczająco wysokie, bobry kopią nory. Często są one bardzo skomplikowane i wielopoziomowe z mnóstwem komór, a długość korytarzy może dochodzić nawet do 40 metrów.

– O, są!– wykrzykuje podekscytowany Kuba, patrząc przez lornetkę. – Proszę spojrzeć.

Widzimy wyraźnie takie dwie nory po przeciwnej stronie potoku. Ujście korytarzy znajduje się pod wodą, natomiast na brzegu można natknąć się na ślady bobrzego ogona. Ze wzruszeniem odkrywamy bezpośredni dowód: oto w wilgotnym piasku na brzegu potoku widać wyraźny ślad ogona, gdy bóbr zsuwał się do wody.

Ponieważ żeremia często zawalają się od góry, bobry łatają powstałe dziury gałęziami i mułem. Później nanoszą materiał z zewnątrz i powstaje coś pośredniego między norą i żeremiem – tzw. noro-żeremie.

Taką budowlę znajdujemy na Kaczawie naprzeciwko nastawni kolejowej w Jerzmanicach.

– Ojej, proszę uważać, nastąpiła pani na dach żeremia! – śmieje się Kuba i pokazuje, w jaki sposób bobry próbują naprawiać dach swojego domostwa. – Przy okazji odsłoniły się wejścia do kanałów wentylacyjnych, widzi pani? O, tutaj ... i tutaj.

Patrzę i nie mogę uwierzyć. Tyle razy tędy chodziłam i w ogóle nie zdawałam sobie sprawy, że chodzę po żeremiach! Jestem przekonana, że z ukrycia obserwuje nas niejeden bór i czeka z niecierpliwością, aż sobie pójdziemy.

Mimo, że podczas tej wyprawy nie udało nam się zauważyć żadnego bobra, cieszę się, że mogliśmy zobaczyć wiele śladów obecności tych zwierząt. Mimo, że czasem w wyniku ich prac są zalewane rolnicze uprawy (za co rząd wypłaca odszkodowania), to niewątpliwie pozytywnych efektów jest znacznie więcej. To właśnie bobry poprawiają jakość naszych gruntów, podnoszą poziom wód gruntowych, co hamuje erozję gleb, zwiększają bioróżnorodność. W rowie melioracyjnym próżno szukać ryb, a w bobrowym stawie znajdziemy ich w bród. Dlatego właśnie bóbr jest gatunkiem objętym częściową ochroną. Nie wolno go zabijać, odławiać ani przenosić w inne miejsca. Nie wolno także niszczyć tam i nor. Jeśli bobrze budowle zagrażają infrastrukturze drogowej czy domom, bobry mogą być przenoszone, ale wymaga to specjalnej zgody odpowiednich władz.

Tekst i zdjęcia Agnieszka Młyńczak

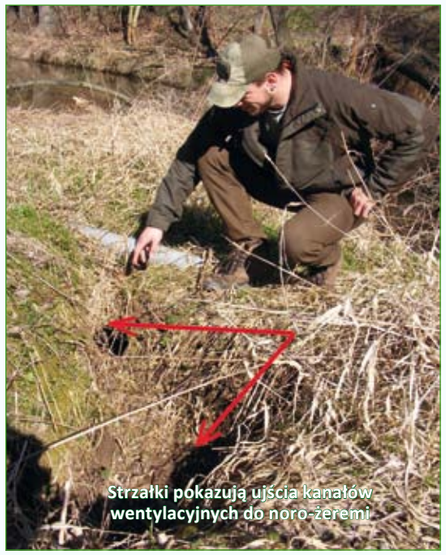
Strzałki pokazują ujścia kanałów wentylacyjnych do noro-żeremi

Ślad ogona bobra, który zsuwa się tędy do wody

9. Przekrój przez bobrową tamę, żeremie i zimowe zapasy.
Źródło: „ABC przyrody" Reader`s Digest Przegląd Sp. z o.o. 1997

W 2012 r. wykonane zostało opracowanie pt.„Rozmieszczenie i liczebność populacji bobra europejskiego i wydry na terenie województwa dolnośląskiego". Oszacowano w nim, że populacja bobra na terenie Dolnego Śląska w 2012 r. wynosiła około 257 rodzin. Obecnie (2020 r.), mając na uwadze roczny przyrost populacji tego gatunku w Polsce około 2,5%, można założyć, że liczebność populacji bobra na Dolnym Śląsku wynosi około 305 rodzin – ok. 1220 osobników – podaje Swidnica24.pl.

Na szczątkach pni widać wyraźnie ślady bobrzych zębów

Bobry potrafią ściąć nawet bardzo grube drzewa o średnicy do jednego metra, aby dostać się do cienkich gałązek

Królestwo bobrów na potoku Kamiennik

Tamy bobrów są niezwykle wytrzymałe i szczelne. Autorka testuje jedną z nich

Wiatrak w Złotoryi w okolicach obecnego ośrodka zdrowia (spalony ok. 1946 r.)

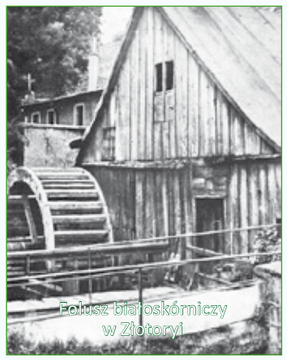

Folusz białoskórniczy w Złotoryi

Gdzieżeś ty bywał...?
We młynie, we młynie...

Nawet jeśli ktoś się młynami nie interesował, to przynajmniej w dzieciństwie legendę o pięknej i mądrej młynarzównie słyszał. Młynarzom fantazji i poczucia godności też nie brakowało: „Taki sobie młynarz dobry jak i wojewoda, wojewodzie robią ludzie, młynarzowi woda". Kiedy zdarzyło się młynarzowi przedwcześnie pożegnać świat zostawiając małżonkę, niekoniecznie ustawiały się kolejki po rękę wdowy: „Młynarzowej nie chcę, też rada się stroi. A jak się ustroi, o męża nie stoi. Musiałbym ja za nią latać, tęgim kijem grzbiet jej łatać. O mój miły panie, niech się tak nie stanie."

Kombajny

Pierwszymi urządzeniami do ścinania i mielenia zboża były kombajny. Te wielkie, rozłożyste maszyny ścinały zboże i przerabiały je na mąkę. Aby nadać moc kołu napędowemu, maszynę ciągnęły zwierzęta od 30 do 40 mułów lub koni. W maszynie ulepszonej wykorzystywano słomę z koszenia do produkcji energii z pary wodnej. W 1911 r. w Kalifornii wyprodukowano samobieżny kombajn zbożowy, a w 1923 r. powstała ulepszona wersja w zakresie lepszej obsługi ziaren. W 1929 r. w Argentynie Alfredo Rotania opatentował samobieżny kombajn.

Młyny

Pierwsze młyny - dreptaki, kieraty (napędzane były siłą mięśni ludzi i zwierząt). Najstarszy młyn wodny powstał w I w.p.n.e., prawdopodobnie w Azji Mniejszej. W 65 r.p.n.e. został opisany młyn wodny w pałacu króla Mitrydatesa Pontyjskiego w Kalibrii. W 23 r. p.n.e. rzymski architekt Witruwiusz , opisał młyn z napędem z koła wodnego na złożenie kamieni za pomocą przekładni zębatej/palczastej(?). Z Italii młyny trafiły na Wyspy Brytyjskie, a potem do Niemiec, Francji i innych krajów europejskich. Zadziwiają młyny budowane na Krymie, które znajdowały się **pod ziemią**, a w ruch wprawiały je zwierzęta. W krajach słowiańskich utrwaliła się nazwa młyn , mlin czy mielnica- wywodząca się od zachodnioeuropejskiej – molendinum, mill. W średniowieczu istniała starosłowiańska nazwa – korowaja (Chorwacja).

W Polsce ślady najstarszego młyna (mącznicy, Mątwicy) odnaleziono w Biskupinie z X/XI w. Było to urządzenie składające się z kilku złożeń napędzanych ręcznie żaren, z regulowaną za pomocą paprzycy odległością między biegunem a leżakiem. Canaletto, malarz starej Warszawy, uwiecznił **młyny pływające** na Wiśle (obraz w Muzeum Narodowym w Warszawie).Nazywano je pływakami lub bździelami. **Młyny wodne** powstawały najpierw na Śląsku i Pomorzu, potem w Wielkopolsce , a pod koniec XIV w. zaczęto budować je na Rusi i Litwie. Hybrydą młyna wodnego stacjonarnego i pływaka był tzw. **"klepak", młyn wodny** składający się z części wybudowanej na wbitych w dno palach oraz łodzi zwanej łyżwą. Archeolodzy znaleźli pozostałości po młynach wodnych: w Otalążku na Mazowszu, w Ptakowicach na Śląsku i w Mniszku na Kujawach. **Młyny wiatrowe** powstały nieco później. W VIII w. Istniały już w Persji i pomimo, że w Europie pojawiły się w XI w., to do Polski dotarły dwa wieki później. **Młyny parowe** mają także swoją historię. Pierwszy zbudowano w Londynie w r. 1784, a w Polsce w Warszawie (1825 – 1827) na Solcu, o mocy 45 KW i napędzającym 12. złożeniami kamieni.

Przed r. 1800 w Europie mogło być ponad pół miliona młynów wodnych. Służyły na różne sposoby- nie tylko mieliły zboże, ale też zasilały tartaki, miechy i młoty przy wyrobie żelaza. Mieliły szmaty na papier, wytłaczano oliwę z oliwek, wiercono lufy strzelb i inne. Od 1771 r. Richard Arkwight budował sieć mechanicznych przędzalni, położonych wzdłuż rzek. Dopiero od XIX w. młyny wodne były wypierane przez młyny napędzane sinikami parowymi, a później **spalinowymi i elektrycznymi**.

Według Stanisława Trawkowskiego **w Polsce** młynarze pojawili się już w XI w., a dwa wieki później Kraków posiadał już 6 młynów. Powszechnie uznaje się, że młyny wodne w Polsce pracowały od XVII w.: na Śląsku, w Wielkopolsce, Małopolsce, na Rusi i Litwie. Prof. Bohdan Baranowski doliczył się 485. zezwoleń na budowę młyna wodnego, wydanych w XIII w. Zastosowanie koła młyńskiego nie wykluczało żaren, które na ziemiach polskich upowszechniły się po wojnach szwedzkich i po I wojnie światowej. W Polsce zachodniej i północnej młyny służyły do produkcji kaszy. Ze względu na typy wyróżniano dwa podstawowe: kozłaki i holendry, zaś pierwszy wiatrak wieżowy pojawił się w Polsce w w. XVIII. Do niezwykle ciekawych należą młyny zwane „dreptakami", gdyż napędzane były drepczącymi końmi lub wołami, bywało przez człowieka. Młyny takie popularne były w zamkach i twierdzach średniowiecznych, do napędu których wykorzystywano niewolników lub jeńców wojennych. Kolejny XIX w. przyniósł zasadnicze zmiany, bowiem koła wodne zaczęto zastępować poziomymi metalowymi turbinami. Koło obracało się w kierunku przeciwnym do prądu rzeki, nie wymagało to grobli, systemu zastaw, śluz i kanałów. Kiedy nauczono się spiętrzania wody na cele młyńskie, stworzono warunki do hodowli ryb. Myśl techniczna rozwijała się i przyszła fascynacja maszynami parowymi, silnikami spalinowymi, a w XX w. elektrycznymi i wiatrowymi. Sen z oczu mechanikom spędzała transmisja siły. Jeszcze w XIII i XIV w. ustawiano budynki wzdłuż rzeki, które zaopatrzone były w kilka kół. Podstawowe służyło do poruszania kamieni młyńskich w celu przemiału zboża na mąkę, drugie do poruszania stepu do produkcji paszy, trzecie do produkcji słodu jęczmiennego lub pszenicznego dla miejscowego browaru lub gorzelni, a olejne do pracy folusza sukienniczego lub stepy do tłoczenia oleju z siemienia lnianego bądź konopnego. Jednakże podstawą przetwórstwa pozostawała mąka. W powiecie złotoryjskim było 51 młynów, z których w latach 1945-1946 uruchomiono 47. W latach następnych młyny te przechodziły różne koleje, w tym młyny złotoryjskie.

W krajobrazie Polkowic w XIX w. pojawił się okazały holenderski wiatrak. Ceglany korpus, jak wyrzut sumienia, zaświadcza o zapomnieniu, braku konserwacji pomimo centralnego usytuowania w infrastrukturze miasta. Ostatnio służył polkowiczanom za mieszkanie, ale po wyprowadzce lokatorów nikt nie dbał o tego samotnika, który niczym ranny żołnierz pozostał na polu bitwy, a siły przyrody odzierały go coraz bardziej z godności, której pozbawili go żołnierze sowieccy kradnąc głowicę, mechanizm i skrzydła.

Kolejnym przykładem holenderskiego wiatraka jest murowany korpus **w Radziechowie,** w gminie Zagrodno. Wiatrak pierwotnie był piecem do wypalania wapna. Nawet został zaznaczony na mapie w XVIII w. Przez niemieckiego kartografa Friuedricha von Wrede. Po wyczerpaniu surowca, został przerobiony na wiatrak, a obecnie stoi i czeka na lepsze czasy. Może doczeka się, bo lokalni działacze opracowali projekt urządzenia w nim obserwatorium astronomicznego.

Na złotoryjskim wzgórzu królował wiatrak holenderski. Podobnie jak inne, nie był oryginalną budowlą, lecz produkcją niemiecka, wzorowaną na holenderskich obiektach. Los nie był dla niego łaskawy, zniknął z horyzontu, pozostał już tylko na starej pocztówce.

Wnętrze młyna

Ruiny złotoryjskiego młyna

Złotoryja szczyciła się okazałym młynem z XVIII w., który w tajemniczych okolicznościach doświadczył dotkliwego pożaru i straszy obecnie swoją okaleczoną opuszczoną bryłą. Młyn przeżył swoje dobre lata, kiedy go rozbudowywano i modernizowano w XIX i XX wieku. Do naszych czasów zachował się portal z datą 1786, na którego dwu wazonach znajduje się godło cechu młynarzy w postaci koła młyńskiego oraz lwów podtrzymujących koło zębate i cyrkiel. Po prawej stronie wejścia wmurowano w XVII i XVIII w. dwie tablice wskazujące poziom wody podczas powodzi w 1608 r. (ok. 150cm) i w 1702 r. (ok. 120 cm). Pierwszą tablicę zawdzięczamy Danielowi Feige. Malownicze młyny, napędzane kołem wodnym spotykaliśmy na Dolnym Śląsku. Wiek XVI i XVII to okres rozwoju miast, wzrost liczby mieszkańców i wzrost produkcji wymuszonej spożyciem. Wojny i plagi zubożyły społeczeństwa, które powróciły do żaren. W XVIII i XIX w. nastąpił rozwój młynarstwa, sypano groble, kanały, zakładano stawy, zmieniono konstrukcję kół młyńskich. Z powodzeniem stosowany jest według niemieckiego wzoru pytel - rękaw lniany do odsiewu mąki z otrąb. W niewielkiej odległości znajdował się młyn wodny zbożowy, a w sąsiadującej kamienicy uwijali się piekarze. Kolejne koło napędzało folusz sukienniczy, daleko za fabryką, w pobliżu nieczynnej sztolni kopalni złota „Aurelia". Przy sztolni wodę skierowano ostrym skrętem w lewo do Kaczawy. Od tego miejsca wody rzeki przybierały różne kolory, w zależności od tego jaki kolor miał mieć aktualnie produkowany filc.

Wielisaw. W Wielisławce funkcjonowała kopalnia złota, która podobno skutecznie konkurowała ze złotoryjską. Młyn funkcjonował jako zakład przeróbczy, gdzie pozyskiwano złoto, srebro i miedź, a ze skał kruszywo. W niedalekiej od Złotoryi **Sędziszowej** młyn wodno-elektryczny z 1827 r. został przebudowany na początku XX w. Do niedawna służył do produkcji mąki, obecnie funkcjonuje jako zaplecze małej elektrowni wodnej. Obiekt składa się z kilku budynków 1-3 kondygnacyjnych, nakrytych dachami z lukarnami. Obok młyna zobaczymy murowany spichlerz z początku XX w. Obecny właściciel we młynie uruchomił restaurację, zachowując urządzenia młyńskie jako atrakcję lokalu, a w zakamarkach posesji przygotował wygodne i zaciszne stanowiska rekreacyjne pozwalające na odizolowanie się od pozostałych gości. Wybredni znajdą wygodne kwatery, w przygotowaniu baza dla dużych „rozrywkowych" grup. W ostatnich latach rozszerzono ofertę o naukę płukania złota, atrakcja adresowana głównie do dzieci.

Opuszczając posesję przekroczymy mostek, pod którym płynie leniwie kanałem woda wpadająca pod budynek. Niezwykle atrakcyjna lokalizacja młyna, u podnóża Wielisławki, umożliwia poznawczy spacer (zwłaszcza po sutym obiedzie) i zapewnia niecodzienne widoki na bazaltowe gołoborze. Duże połacie łąki z obficie porośniętymi burzanami i krzakami brzegiem rzeki, kuszą świeżą zielenią od wiosny do późnej jesieni i otumaniają zapachami po deszczu. Zimową porą gałęzie nabrzmiałe łachami śniegu opadają coraz niżej i niżej, czekając na słońce i roztopy.

Nie dziwota, że od lat niemalże w każdej sąsiedniej wsi pracowały piekarnie, z których raniutko rozchodził się zapach świeżego pieczywa, drażniąc zmysły i budząc śpiochów, niczym kogut, ogłaszając porę pobudki.

W **Nowym Kościele** w budynku nad groblą posadowiono okazały młyn. Dla zwiększenia mocy wody obracającej koło młyńskie zbudowano urządzenia zastawne, które jeszcze do lat 60. XX w. pięknie spiętrzały wodę.

Różana. Młyn wodny w przysiółku Nowego Kościoła, położony nad Kaczawą w Górach Kaczawskich. Zachowany z pocz. XIX w. Nieczynny. Możliwe, że zdobył nowego właściciela, bo z drogi widoczne są jakieś prace budowlane.

Młynarze najczęściej zawierali związki małżeńskie w obrębie własnej profesji. Tak powstały wielopokoleniowe rody. Nazwiska dziedziczono po wywodzących się ze szlachty lub mieszczaństwa, które utrwaliły się już w późnym średniowieczu, a pośród warstwy chłopskiej od XIX w. w społeczeństwach wiejskich rzemieślnik był osobą znaną, w metrykach tzw. trydenckich do imienia dodawano młynarz albo molitor. W miastach młynarze organizowali się w cechy. Edukacja zaczynała się w wieku 13 lat okresem próbnym terminu. Następował wpis do księgi ucznia. Nauka trwała od 3-5 lat. Następowało wyzwolenie na czeladnika z wpisaniem do księgi czeladników. Mistrzem zostawało się po egzaminie mistrzowskim polegającym na samodzielnym „wyrobieniu sztuki młynarskiej", czyli wykonaniu jakiegoś mechanizmu młyna i wykazaniu się umiejętnością obsługi młyna. Młynarze mieli swobodę w przemieszczaniu się w związku z pracą pod warunkiem, że w nowym miejscu będzie to też praca młynarska. Młynarzom najemnym powierzano prowadzenie młyna za tzw. *trzeci grosz* dla młynarza. Czasami zamiast gotówki otrzymywał wynagrodzenie w zbożu. Najliczniejszą kategorią byli młynarze *„na miarze"*, zostawiali sobie *trzeciznę*, a resztę oddawali właścicielowi. Ilekroć sięgniemy po produkty mączne, wspomnijmy młynarzy i ich ciężką pracę.

Książeczka czeladnicza młynarza

Polska myśl techniczna ma w swoim dorobku publikację poświęconą budowie młynów z wykorzystaniem siły wody zatytułowaną *Architekt Polski to jest próba ulżenia wszelkich ciężarów*, autorstwa Stanisława Solskiego / r. 1630. Wykorzystano informacje z: pl.wikipedia.org./wiki/Młyn_wodny.

Danuta Sosa

Wędrowanie i stare fotografie

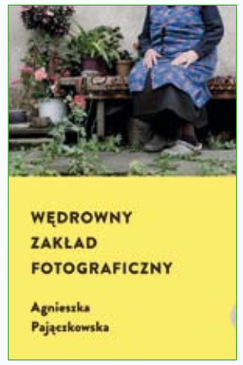

W wielu domach znajdują się pudełka, w których przechowywane są stare fotografie. Czarno-białe wspomnienia przypominające chwile z młodości, rodzinnych uroczystości, przy pracy. Do takiego pudełka pełnego wspomnień o żywych i umarłych, znanych z imienia i nazwiska lub bezimiennych, przyrównuje swoją książkę **Agnieszka Pajączkowska** – autorka **„Wędrownego Zakładu Fotograficznego"**. Pod tym tytułem kryje się kilkuletni projekt, który w początkowym zamyśle miał dostarczyć materiał na blog, a przybrał formę książki opowiadającej historie przypadkowych osób, mieszkańców wsi i małych miejscowości usytuowanych wzdłuż granicy polskiej. Chociaż autorka zastrzega, że nie kierowały nią ani ambicje naukowe (ukończyła studia z antropologii kultury), ani artystyczne czy reporterskie, to efekt końcowy, który sklasyfikować można jako reportaż z drogi.

Przez pięć lat (2012-2016) Agnieszka Pajączkowska poświęcała jeden wakacyjny miesiąc na podróż, podczas której wcielała się w rolę wędrownego fotografa i oferowała napotkanym ludziom zdjęcie - za historię i poczęstunek. Jak można się spodziewać, w dobie powszechnych aparatów cyfrowych i telefonicznych, fotograf-domokrążca, który za usługę nie chce pieniędzy, ale chętnie zje obiad i porozmawia, wywoływał różne reakcje. Od skrajnej złości i straszenia widłami, po trwające wiele godzin opowieści o życiu kiedyś i teraz, o samotności, o starości i umieraniu. Bo gdy już udało się przekroczyć próg domu, niespodziewany gość stawał się powiernikiem opowieści o wypełnionym pracą dzieciństwie, przedwczesnym wejściu w dorosłość, pijaństwie męża, pożodze wojennej, przymusowych przesiedleniach, upokarzającej biedzie i niespełnionych marzeniach. Wszędzie te same, a jednak inne, życiorysy wypełnione obowiązkami, złymi i dobrymi wyborami, potargane wojennymi traumami i odcinanymi korzeniami. Oceniane z perspektywy czasu, ilustrowane portretami ściennymi i mikrofotografiami wykonanymi przed laty przez dorabiających początkujących fotografów. W wielu przypadkach nieszczęścia nie należą tylko do przeszłości, czasami układają się w ciąg, który nie ma końca i przechodzi na kolejne pokolenie. Na wschodniej granicy bohaterowie opowieści wrośnięci są w swoje wioski i domy, Dolnoślązacy wciąż podkreślają oderwanie od ojcowizny i poczucie obcości w darowanych poniemieckich domach.

Autorka kończy swą podróż na Dolnym Śląsku. Odwiedza także mieszkańców ziemi złotoryjskiej, ale jak w innych przypadkach nie podaje nazwy miejscowości, ani nie przywołuje nazwisk. Ja zdradzę Państwu, że chodzi o mieszkańców Rząśnika – pana Andrzeja Kozłowskiego i jego teściową panią Michalinę Multon. Niestety bohaterka tej ciekawej opowieści już nie żyje.

Oprócz niezwykłych historii zwyczajnych ludzi, na uwagę zasługuje wszystko to, co dzieje się między historiami, czyli inicjowanie rozmów, przełamywanie niechęci, krótkie „Pani, co tu opowiadać...?", które przechodzi w płynną opowieść, a także serdeczność, akcje „pomocowe" (zwykle związane ze szwankującą mechaniką wędrującego samochdu) czy podziękowania w postaci pierogów, weków, świeżych warzyw i owoców. To świetny dokument, który pokazuje, że starzy ludzie, to nie tylko choroby, szuranie nogami, nadwątlony słuch, to przede wszystkim perypetie życiowe, nie zawsze godne pozazdroszczenia, ale zasługujące na wysłuchanie, współczucie i podziw.

Agnieszka Pajączkowska na spotkaniach autorskich pojawia się z bogatą kolekcją zdjęć, które przywiazła z tej podróży. Ta młoda osoba (rocznik 1986) lgnie do ludzi – widać to niemal na każdej stronie tej książki!

Wydawcą książki jest Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2019. Fotograficzną relecję z podróży znajdą Państwo na www.wedrownyzakladfotograficzny.pl, a na temat autorki warto poczytac również na www.agnieszkapajaczkowska.pl Zdjęcie potrójne - https://www.facebook.com/wedrownyzakladfotograficzny/

Joanna Sosa-Misiak

Zdjęcie zrobione podczas wywiadu z Michaliną Multon

Św. Jadwiga w Złotoryi - cz. 2

Inscenizacje i wizerunki (XX-XXI wiek)

Podczas hucznie obchodzonego 700-lecia otrzymania praw miejskich ukazał się w 1911 r. cykl barwnych widokówek, nawiązujących do uroczystego korowodu, który przeszedł wtedy przez miasto. Złotoryjanie odtworzyli najważniejsze momenty w jego dziejach. Nie mogło zabraknąć księcia Henryka Brodatego i jego małżonki Jadwigi. Właściwie mieliśmy do czynienia z dwoma rekonstrukcjami – podczas pochodu władca pozdrawiał licznie zgromadzonych widzów, a na pocztówce św. Jadwiga aprobuje projekt kościoła i klasztoru.

W 1974 r. troje złotoryjskich artystów, Bronisław Chyła oraz Jadwiga i Marian Dylągowie, ozdobiło kilkoma obrazami ściany halu Powiatowego Domu Kultury (dzisiaj ZOKiR). Na jednej ze scen, książę Henryk Brodaty nadaje miastu w 1211 r. prawa miejskie. Obok władcy stoi Jadwiga. Para książęca przyjmuje mieszczan złotoryjskich przed swoją siedzibą, czyli zamkiem w Rokitnicy. Bardzo prawdopodobne, że jest to pierwszy w powojennej przestrzeni miejskiej tego rodzaju wizerunek Świętej.

W 1991 r. złotoryjscy parafianie na 780-lecie miasta ufundowali kilka witraży w oknach kościoła św. Jadwigi. Jeden z nich przedstawia patronkę świątyni i parafii.

Św. Jadwiga zmarła w 1243 r. W 750 rocznicę śmierci złotoryjanie mogli zapoznać się z jej życiorysem oraz zasługami dla ziemi złotoryjskiej dzięki publikacji Alfreda Michlera, pt. „Jadwiga – księżna i święta. Szkic o życiu Jadwigi w 750 rocznicę śmierci". Również w 1993 r. złotoryjscy filateliści wzbogacili swe zbiory o dwa znaczki pocztowe, wydane wspólnie przez pocztę polską i niemiecką z okazji tej samej doniosłej rocznicy. Na obu widnieje scena z IV-wiecznej tzw. Legendy Obrazowej – św. Jadwiga udziela gościny duchownym i zakonnikom, przybywającym na Śląsk. Uprzedzając fakty, ta właśnie rycina towarzyszyła nam w 2014 r.,podczas pierwszej wizyty w TMZZ o. Bogdana Koczora, franciszkanina, proboszcza parafii św. Jadwigi.

Bracia Mniejsi, powracając na stałe do Złotoryi, zastali kilka wiekowych wizerunków św. Jadwigi (pisaliśmy o nich w poprzednim odcinku w listopadzie-grudniu 2019 r.): relikwiarz, obrazy z XVIII w. w ołtarzu głównym i w zakrystii oraz wspomniany witraż z 1991.

W 2015 r. pojawiły się w parafii franciszkańskiej dwie nowe figury św. Jadwigi – jedna z nich, ufundowana przez parafian, na stałe znalazła swe miejsce nad wejściem na plac przed kościołem, drugą ofiarował prowincjał Prowincji Świętej Jadwigi i teraz znajduje sie w klasztorze w Zieleńcu. Drugi z niżej podpisanych pracuje nad konserwacją jeszcze jednej figury św. Jadwigi, ktora stanie zapewne w kapliczce przy ul. Joannitów. Tuż po przybyciu w 2014 r. pierwszych pięciu franciszkanów powstał obraz z ich portretami oraz wysokich przedstawicieli Kurii Legnickiej. W 2017 r. parafia wzbogaciła się o nowy sztandar (zaprojektowany przez Józefa Banaszka) z wizerunkami Świętej i tutejszego klasztoru.

Nie spodziewaliśmy się, że właśnie po 1993 r. (ale z pewnością nieprzypadkowo!) pojawią się coraz liczniejsze wydarzenia, związane z jadwiżańskimi tradycjami. Z perspektywy czasu można stwierdzić, że największe zasługi w odrodzeniu jadwiżańskich tradycji mają duszpasterze parafii św. Jadwigi, TMZZ, Polskie Bractwo Kopaczy Złota, nauczyciele i młodzież tutejszych szkół oraz władze lokalne. Odcinki niniejszego cyklu będą właśnie poświęcone tym wydarzeniom. Czyli dzisiaj jedynie o niektórych z nich.

W 1997 r. Rada Gminy Wiejskiej Złotoryi ustanowiła po raz pierwszy w historii herb gminy. Odwołała się do najstarszych tradycji. W górnej części widzimy św. Jadwigę i księcia Henryka Brodatego, których wiązał z naszymi okolicami nie tylko zamek w Rokitnicy – popierali osadnictwo, rozwój górnictwa złota, życie religijne, fundowali kościoły i klasztory (o wszystkich miejscach kultu św. Jadwigi na terenie gminy opowiemy w jednym z kolejnych odcinków).

Największa jak dotąd wystawa poświęcona św. Jadwidze i tradycjom jadwiżańskim została zorganizowana przez TMZZ we wrześniu 2008 r. w kościele św. Jadwigi z okazji Europejskich Dni Dziedzictwa. Przebiegały pod hasłem „Korzenie tradycji. Od ojcowizny do ojczyzny". Była to zapewne pierwsza taka wystawa w całej historii tego złotoryjskiego kościoła. Poparł nasze zamierzenia ks. prałat Marian Sobczyk, który podczas otwarcia wystawy zachęcał, abyśmy trwali przy tym dziedzictwie, reprezentując wszystko to, co w naszej kulturze autentyczne, humanistyczne i chrześcijańskie. Codziennie witało odwiedzających kościół św. Jadwigi ponad sto różnych eksponatów z najcenniejszym XVIII-wiecznym portretem patronki, wykonanym niegdyś dla naszej świątyni. Nie zabrakło reprodukcji XIV-wiecznego Żywota św. Jadwigi, wielu innych jej wizerunków, przykładów lokalnych działań (np. Ścieżka św. Jadwigi, Rajdy Jadwiżańskie, Rajdy Czterech Świątyń, Rajdy Źródlane, nadanie imienia szkole w Sokołowcu). Można było nieodpłatnie zaopatrzyć się w katalog wystawy i wydawnictwa związane z jej tematyką. Wystawę zwiedziło kilkaset osób, przede wszystkim uczniowie złotoryjskich szkół pod opieką nauczycieli historii i księży katechetów, a także grupy ministranckie, indywidualni parafianie oraz turyści, również z Niemiec. Już podczas wystaw w 2006 (z okazji sesji popularnonaukopwej o stosunkach polsko-niemieckichich) oraz w 2011 r. (800-lecie), przygotowanych przez TMZZ w Złotoryjskim Ośrodku Kultury i Rekreacji, kilka plansz przypominało sylwetkę Świętej i jej związki z ziemią złotoryjską.

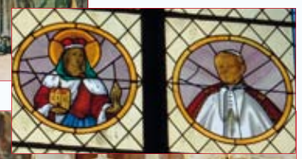
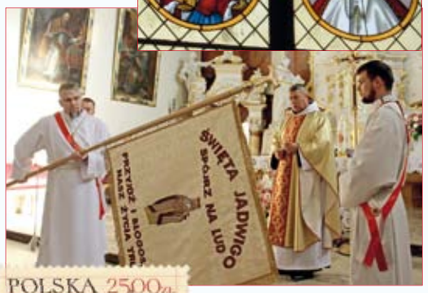

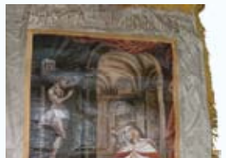

Do końca lat 60. XX w. postać św. Jadwigi nie „pojawiała się" na ulicach miasta (np. bez niej odbywały się pierwsze – 1968 - oraz następne Dni Złotoryi). Już jednak w latach 70. nawiązywać zaczęto do czasów założycieli miasta, a młodzież, np. z Liceum Ogólnokształcącego, uczestniczyła w święcie miasta w historycznych strojach. Nie potrafimy jednak ustalić, od kiedy regularniej organizatorzy oraz uczestnicy jubileuszy Złotoryi odtwarzają wydarzenia, związane z parą książęcą. W każdym razie, w 2001 r. podczas 790-lecia nadania praw miejskich, zorganizowana została inscenizacja, przedstawiająca zdarzenia z 1211 r. W następnych latach, na czele wszystkich korowodów, które rozpoczynają Dni Złotoryi, a szczególnie od 2011 r., gdy świętowaliśmy 800-lecie, obowiązkowo majestatycznie przechodzi książęcy orszak. Książę Henryk nie zawsze jest brodaty, za to Jadwigę zawsze odgrywa uczennica – jak najbardziej odpowiada to rzeczywistości, Jadwiga z Andechs została żoną Henryka gdy miała 12 lat.

Roman Gorzkowski
Józef Banaszek

Zabytki na emigracji

Mariackie organy - odsłona druga

Z artykułu w Echu Złotoryi p.t. „Mariackie organy" (marzec 2019) wynika, że wspaniałe XVIII-wieczne organy z kościoła NNMP w Złotoryi trafiły po wojnie do kościoła Św. Trójcy w Warszawie, a następnie około 1951 r. zostały sprzedane katolickiemu kościołowi św. Antoniego w Warszawie na Kole, od którego odkupiła je katolicka parafia św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Czeladzi.

Postanowiliśmy tym tropem pójść dalej i nawiązaliśmy kontakt z Towarzystwem Miłośników Czeladzi. Z materiałów przesłanych przez Ewę Ambroży z TMCz wynika, że kościół czeladzki posiadał zabytkowe organy z 1637 r., które ze względu na zły stan techniczny nie mogły jednak spełniać swoich funkcji. Postanowiono więc zakupić nowy instrument do kościoła. Nowe organy zakupiono w 1959 roku na rocznicę konsekracji kościoła. Do kościoła w Czeladzi trafiły podobno ok. 1960 r.

Inicjatorem zakupu był ksiądz Kazimierz Konieczny, pochodzący z Czeladzi. Co ważne, w tym czasie pełnił funkcję duchownego w kościele św. Józefa na Kole w Warszawie. W tym kościele w piwnicy zdeponowane były organy – sądzono, że pochodzą ze spalonego i zburzonego w czasie powstania kościoła (najprawdopodobniej św. Trójcy w Warszawie). Organy nie mogły zostać wykorzystane w kościele w Kole, ponieważ nie mieściły się na chórze. Stwierdzono, że instrument jest w dobrym stanie, za wyjątkiem drewnianej szafy. Proboszcz czeladzkiego kościoła zdecydował się na zakup części instrumentu, tj. 41 głosów z całych 80 głosowych organów. Określenie głosów nie równa się ilości piszczałek, które są zgrupowane w komplety i jest ich znacznie więcej niż głosów.

Zatem organy musiały być dość duże. Wartość wyceniono na 250 000 ówczesnych złotych. Przewozem instrumentu zajęła się bogucicka firma transportowa.

Organistą czeladzkim był wówczas Henryk Krysiak (prowadzący również kościelny chór i kancelarię), w obecności którego montowano instrument. Podobno w czasie montażu organów pękła lina mocująca instrument, na szczęście nikomu nic się nie stało. Szafę dorabiał czeladzki stolarz Franciszek Kazienko. Przed zainstalowaniem ich w kościele zlecono remont instrumentu fabryce Budowy Organów Truszczyńskich we Włocławku. Organy poświęcone zostały 30 kwietnia 1961 roku przez biskupa ordynariusza częstochowskiego Zdzisława Golińskiego (według innej relacji, dopiero 4 października 1964 r.).

Z tabliczki znamionowej zainstalowanej w kościele można wyczytać ważne informacje dotyczące instrumentu: Op 80 (numer kolejny, dzieła, instrumentu), Gustav Heinze (właściciel warsztatu, twórca instrumentu), Orgelbau Anstalt (warsztat organmistrzowski), Sorau (Żary) NL (Niedelausitz – Dolne Łużyce).

Wiesława Konopelska w artykule „Zanim zabrzmi Gaude Mater" (Zeszyty Czeladzkie 10/2003) podaje też informację dotyczącą twórcy organów: Gustav Heinze (1874-1949) urodził się w Bieniowie w Łużycach. Jego organmistrzowski warsztat w Żarach istniał w latach 1904-1945. W tym okresie Gustav Heinze zbudował 250 instrumentów.

Organy służą w kościele św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Czeladzi do dnia dzisiejszego. Trudno ustalić, co stało się z prospektem organowym oraz pozostałymi 39 głosami.

Sylwia Dudek-Kokot

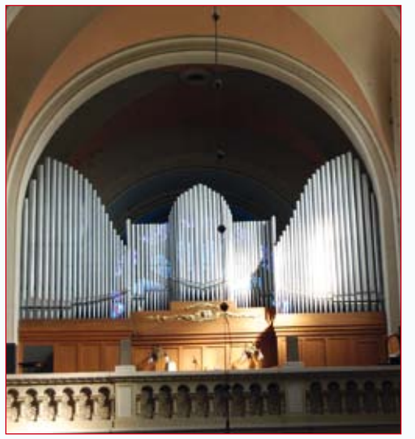
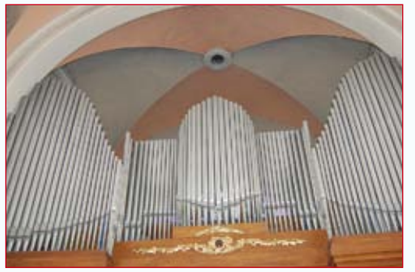

Dzieje złotoryjskich pomników - cz. 5

Dwie postaci pomnika przed policją (1985, 2003)

Dekret Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z 7 października 1944 roku o Milicji Obywatelskiej podporządkował ją kierownikowi resortu Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie dekretem Rady Państwa z 20 lipca 1954 roku Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego. Od tej pory, MO i SB corocznie obchodziły kolejne rocznice swego powstania na początku października.

Jak łatwo było policzyć, w 1984 r. mijało równo 40 lat od utworzenia MO i SB. Jak wynika z zapisów w kronice złotoryjskiego oddziału Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, *myśl o zbudowaniu obeliska poświęconego funkcjonariuszom MO i SB – weteranom pracy i walk o utrwalenie władzy ludowej na ziemi złotoryjskiej w l. 1945-1985 wypłynęła między innymi od kpt. rez. inż. Stanisława Mikusa – Prezesa Zarządu Koła Miejskiego ZBoWiD w Złotoryi na naradzie kombatanckiej. Propozycję tę aktyw kombatancki – byli funkcjonariusze MO i SB przyjęli z zainteresowaniem i aprobatą. Zagadnienie to postawili na zebraniu Podstawowej Organizacji Partyjnej Emerytów i Rencistów przy Rejonowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych w Złotoryi w dniu 3 V 1983 r., gdzie zapadła uchwała o budowie obeliska przed gmachem RUSW w Złotoryi w czynie społecznym*. Powołano Komitet Budowy Obeliska, w skład którego weszli: Jan Ładocha, Franciszek Arleth, Stanisław Bogus, Józef Kosmala i Józef Widerski.

Widać niewątpliwy związek z 40-rocznicą, ale z realizacją zamysłu nie zdążono do października 1984 r. Zresztą nie tylko tutaj nie zdołano w ten sposób przygotować się do obchodów. Dopiero w 1984 r. został powołany przy Wojewódzkim Urzędzie Spraw Wewnętrznych we Wrocławiu komitet organizacyjny, dotyczący budowy w stolicy Dolnego Śląska tablicy pamiątkowej ku czci poległych funkcjonariuszy UB i MO w pierwszych latach po zakończeniu wojny na Dolnym Śląsku. Myślano także o przygotowaniu stosownych publikacji.

Kierownikiem Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych był wówczas Stanisław Segda. W budowę pomnika najbardziej zaangażował się Stanisław Bogus. Opracowanie projektu i wykonanie poszczególnych metalowych elementów powierzono Michałowi Sabadachowi, który prowadził pracownię plastyczną w Uniejowicach. Tam udali się osobiście Stanisław Segda i Stanisław Bogus. Sabadach zaprojektował również ogólny kształt pomnika, który miały tworzyć dwie różnej wysokości kolumny z tablicami, wykonanymi z brązu. Na podstawie gipsowych matryc dostarczonych przez projektanta, odlano je w Bolesławcu. Natomiast na miejscu w czynie społecznym powstał przede wszystkim podest, znajdujący się u podnóża pomnika.

Uroczyste odsłonięcie obeliska nastąpiło 4 października 1985 r. w ramach obchodów 41 rocznicy powstania MO i SB. Udział w tej uroczystości wzięły władze polityczne i administracyjne województwa legnickiego, zbowidowcy i przedstawiciele organizacji społecznych, młodzież szkolna z pocztami sztandarowymi, orkiestra górnicza ZUG „Lena". Poszczególne delegacje złożyły kwiatów pod obeliskiem. Następnie w tym samym dniu odbyła się akademia w Złotoryjskim Ośrodku Kultury, zorganizowana przez WUSW w Legnicy, podczas której RUSW w Złotoryi otrzymał sztandar ufundowany tej jednostce przez społeczeństwo ziemi złotoryjskiej.

Na tablicy, umieszczonej na wyższej kolumnie umieszczono orła z herbu złotoryjskiego i napis: WETERANOM PRACY I WALKI O UTRWALENIE WŁADZU LUDOWEJ NA ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ. Na prawej tablicy znalazły się litery MO i SB, ujęte w daty: 1945 i 1985. Znaczenie odsłonięcia pomnika podkreślane zostało wybiciem 50 egzemplarzy okolicznościowego medalu (średnicy 7 cm). Na awersie widzimy stylizowaną sylwetkę pomnika, daty 1945-1985 oraz litery MO i SB, na rewersie w otoku napis: Rejonowy Urząd Spraw Wewnętrznych Złotoryja. Pośrodku umieszczono herb miasta.

Przez następnych kilka lat trwała we Wrocławiu weryfikacja nazwisk i faktów, dotyczących funkcjonariuszy MO i SB, którzy stracili życie w pierwszych latach po zakończeniu wojny na Dolnym Śląsku. Niejako rzutem na taśmę, w lipcu 1989 r., w 45-lecie powstania organów Bezpieczeństwa Publicznego i Milicji Obywatelskiej, w gmachu Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych we Wrocławiu została odsłonięta pamiątkowa tablica z nazwiskami 170 funkcjonariuszy UB, MO i ORMO, poległych w latach 1945-1950 na Dolnym Śląsku. Pułkownik Władysław Kurnik, szef Komitetu Obchodów 45-lecia, powiedział wtedy m.in.: *Na tę chwilę czekaliśmy długie lata... Kolektyw nasz widział potrzebę ratowania od zapomnienia heroicznego czynu funkcjonariuszy organów Bezpieczeństwa Publicznego i Milicji Obywatelskiej oraz członków ORMO.* Dodajmy, że podczas uroczystości Jerzy Jaszcza odebrał medal „Za udział w walkach w obronie władzy ludowej", przyznany pośmiertnie jego ojcu Zygmuntowi przez Radę Państwa. Pamiętamy, że został on zastrzelony, razem z Czesławem Bizoniem, w lipcu 1948 r. w Złotoryi.

Budowa pomnika – 1985. Od lewej: Józef Kosmala, Franciszek Arleth, Jan Ładocha, Stanisław Bogus.

1985. Pierwszy od lewej Stanisław Bogus, trzeci Stanisław Segda, ósmy Michał Sabadach.

Pomnik w 1985 r.

1985. Od lewej: Józef Karpiszyn, Seweryn Maciejewski, Stanisław Bogus

Na mocy ustawy z 6 kwietnia 1990 roku Policja Państwowa zastąpiła Milicję Obywatelską. Nowa rzeczywistość musiała odbić się na losach opisywanego pomnika. Najpierw (1990-1991) „wywabiono" przymiotnik „ludowej" z napisu po lewej stronie. Słusznie uznano, że powojenna władza nie była ani ludowa ani demokratyczna. Wkrótce zniknęła prawa tablica z literami MO i SB. Oprócz tego, właściwie nic się z pomnikiem w kolejnych latach nie działo. Z pewnością wyglądał nieciekawie, nosząc ślady dziwnych ingerencji. Nie pamiętamy także żadnej uroczystości, zorganizowanej po 1990 r.

Pod koniec 2002 r. odwiedzili Michała Sabadacha komendant policji z Wrocławia (Sabadach nie pamięta już jego nazwiska) oraz Seweryn Maciejewski ze Złotoryi, by zlecić wykonanie nowych tablic. W pracowni Sabadacha powstały matryce. Żeliwne odlewy, patynowane potem przez Sabadacha brązem, wykonał zakład Włodzimierza Bajsy w Pielgrzymce. Podobnie jak w 1985 r. Michał Sabadach wykonał pracę nieodpłatnie. Obie tablice całkowicie zmieniły kształt oraz inskrypcje. Po lewej widzimy od góry emblemat policji z napisami POLICJA ZŁOTORYJA, niżej tekst: W 84 ROCZNICĘ POWSTANIA POLICJI. POLEGŁYM POLICJANTOM W WALCE O BEZPIECZEŃSTWO SPOŁECZEŃSTWA ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ. ZŁOTORYJA – 2003. Niższą kolumnę ozdobiła tablica z herbem powiatu złotoryjskiego. Poprzednia tablica, z herbem miasta, trafiła do zbiorów Muzeum Armii Radzieckiej w Uniejowicach, prowadzonego przez Michała Sabadacha.

Pomnik w nowym kształcie odsłonili 25 lipca 2003 r. były komendant tutejszej policji, Jan Tokarski, oraz Stanisław Bogus, prezes Stowarzyszenia Emerytów i Rencistów Resortu Spraw Wewnętrznych Rzeczypospolitej Polskiej. W ceremonii udział wzięli m.in. Komendant Powiatowy Policji Bogusław Lechiniak, burmistrz miasta Ireneusz Żurawski, delegacja policji niemieckiej oraz NSZZ Policjantów z Wrocławia. Pomnikowa przemiana nie uszła uwagi złotoryjanina Piotra Kanikowskiego, dziennikarza „Gazety Wrocławskiej". W felietonie z 19 sierpnia 2003 r. pisał: *Pewnie w każdym mieście sa pomniki, pod które się chodzi i pomniki, pod które się nie chodzi. W Złotoryi nie chodziło się do niedawna pod pomnik przy komisariacie p[olicji, poświęcony – jak głosiła tablica – funkcjonariuszom Miolicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa poległym w obronie PRL-u. Ostatnio dokonano jednak istotnej modernizacji: starą tablicę zastąpiła nowa, poświęcona funkcjonariuszom Policji poległym za Polskę. Policjanci giną od kul bandziorów, co nie podoba się społeczeństwu, więc monument może rozpocząć drugie życie. Przez długie lata świętowało się rocznicę wybuchu wojny pod pomnikiem na placu Lotnikow Polskich, aż ktoś w mieście zauważył, że jest to pomnik Ludowego Wojska Polskiego. Wszystko wskazuje na to, że rządząca Złotoryją prawica będzie go odtąd omijać szerokim łukiem. Chyba, że ktoś, kto się nie brzydzi, zmieni tablicę na cokole.*

Gdzieś pod cokołem nowego pomnika wciąż znajduje się akt erekcyjny z 1985 r., którego treści możemy się tylko domyślać, ponieważ nie udało się dotrzeć do tekstu (w 2003 r. nie wmurowano aktu erekcyjnego). Co najmniej od 2019 r. policjanci zapalają pod pomnikiem znicze, gdy umiera ich kolega. W wyniku budowy nowego parkingu na przełomie 2019 i 2020 r. pomnik znalazł się w innym otoczeniu, ale nie zmienił swego położenia.

Roman Gorzkowski

Serdecznie dziękuję Krystynie Klewko, Emilii Segdzie, Michałowi Sabadachowi oraz Stanisławowi Mikusowi za pomoc w pracy nad artykułem. Poszukuję aktu erekcyjnego pomnika z 1985 r., zdemontowanej (mniejszej) tablicy) z 1985 r. oraz informacji o pamiątkowym medalu z 1985 r. (przede wszystkim nazwiska projektanta).

Proszę o kontakt osoby, które należały do złotoryjskiego PTTK lub mają jakiekolwiek pamiątki, związane z działalnością tej organizacji na terenie naszego powiatu.

Roman Gorzkowski

Odsłonięcie pomnika – 1985. Kwiaty składa delegacja ZBoWiD, w mundurze górniczym Stanisław Mikus.

Tablica w 2003 r.

Pomnik w 2003 r.

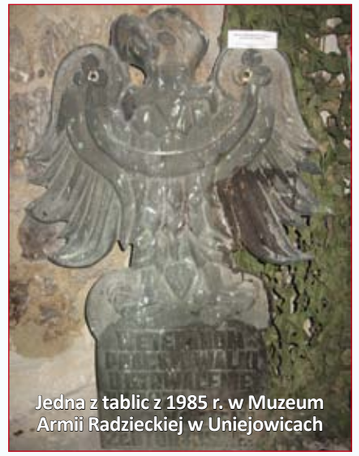
Jedna z tablic z 1985 r. w Muzeum Armii Radzieckiej w Uniejowicach

Pamiątkowy medal - 1985 r.

Pomnik bez tablicy z literami MO i SB

Zapomniane-odszukane

Baszta Kowalska

Z całą pewnością, są tylko dwa symbole naszego miasta: kościół Narodzenia Najświętszej Maryi Panny oraz Baszta Kowalska. Kościół Mariacki został wzniesiony ponad 800 lat temu. Towarzyszy nam od początków miasta. Jest perłą polskiej architektury. Nie sposób wymienić wszystkich wydarzeń, związanych z tą świątynią i przecenić jej znaczenie w życiu złotoryjan. Baszta Kowalska jest nieco młodsza, ukończyła bowiem „tylko" około 650 lat. Broniła najważniejszej bramy miejskiej, służyła jako więzienie. Jednak zwiedzać ją możemy dopiero od niespełna 50 lat.

Oto kilkanaście przykładów sylwetki zabytkowej baszty Kowalskiej, ujętych w logach różnych instytucji, na medalach, pieczęciach, korespondencji, znaczkach pamiątkowych itp. Wszystkie mają swój urok, podziwiać należy pomysłodawców i grafików!! Bohaterem kolejnego odcinka będzie oczywiście kościół NNMP.

Namawiamy do tematycznego kolekcjonowania złotoryjskich motywów: wcześniej (Echo z marca 2015, ze stycznia-lutego 2019 a także listopada-grudnia 2019) odszukaliśmy już niektóre pamiątki związane z górnictwem złota, Wilczą Górą oraz świętą Jadwigą. Z pewnością powrócimy do tych motywów, bowiem wciąż odkrywamy nowe kolekcjonerskie skarby.

Roman Gorzkowski

Hotele, restauracje, gospody...
- jeszcze więcej lokali

W poprzednim numerze *Echa Złotoryi* (luty 2020) w jednym z artykułów przedstawiono **27 zakładów hotelarsko - gastronomicznych** działających przed II wojną światową w Złotoryi i najbliższych okolicach. Okazuje się, że to nie wszystko. Piotr Klimaszewski odnalazł w swoich ogromnych zbiorach widokówek jeszcze **6 dodatkowych restauracji-gospód-zajazdów: „Restaurację w Ratuszu"**, **„Zajazd pod Złotym Słońcem"**, **„Dolny Zameczek"**, **„Dom Szwajcarski"**, **„Staroniemiecką Oberżę" oraz „Lipową Karczmę"**. Gdy dodamy do tego jeszcze jedną **kawiarnię I. Stanka** na obecnej ul. Bohaterów Getta Warszawskiego, to uzyskamy razem **34 lokale.** Również poza miastem było więcej takich miejsc. Oprócz wspomnianego „Leśnego Zamku" w Jerzmanicach Zdroju oraz „Zajazdu Hübnera" na Kopaczu, działała jeszcze popularna **„Gospoda Dreschera"** w Rokitnicy oraz piękny **„Zajazd pod Lipami"** w Kozowie. Nieco dalej też można było odpocząć i zabawić się w restauracjach i gospodach w Zagrodnie, Uniejowicach, Radziechowie, Brochocinie, Olszanicy, Wilkowie, Prusicach, Nowej Ziemi, Nowym Kościele czy Pielgrzymce...

Damian Komada
Piotr Klimaszewski

„Szwajcarski Dom" (ob. ul. 3 Maja)

„Lipowa Karczma" (ob. ul. 3 Maja)

„Restauracja w Ratuszu" (ob. ul. Rynek)

„Zajazd pod Złotym Słońcem" (ob. ul. Basztowa)

„Staroniemiecka Oberża" (ob. ul. 3 Maja)

„Dolny Zameczek" (ob. ul. Grunwaldzka 7)

HALINA SOBOTA,
nauczycielka złotoryjskich szkół podstawowych, kształciła i wychowywała uczniów SP 1 i SP 3, w zakresie kształcenia wczesnoszkolnego. Pozostała w życzliwych wspomnieniach swoich uczniów i ich rodziców. Jako wzorowej nauczycielce powierzano Jej patronat nad praktykami studenckimi, dzięki czemu uczniowie szkoły wracali po latach jako nauczyciele. W Szkole Podstawowej nr 3 dała się poznać również jako utalentowana prekursorka nowości pedagogicznych i niestrudzona organizatorka uroczystości klasowych, szkolnych i miejskich. W życiorysie ma piękną kartę w działalności ZNP - urządziła i prowadziła Klub Nauczyciela w budynku „Bacalarus". Pasję społecznikowską realizowała w organizacji i prowadzeniu Izby Oświatowej w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej i prowadzeniu lekcji z regionalizmu. Była aktywną uczestniczką Koła Kresowego przy TMZZ, promując swój rodzinny Łuck. ŚP. Pani Halina zostawiła wiele śladów w przestrzeni złotoryjskiej i zdaje się, że ciągle jest wśród nas. A jednak... niech Jej ziemia złotoryjska lekką będzie. Rodzinie i wszystkim, którzy po Niej płaczą, składamy serdeczne wyrazy współczucia.

Za Zarząd TMZZ
Danuta Sosa

pamięć o KATYNIU

W związku z przygotowywaną publikacją poszukuję złotoryjan oraz mieszkańców powiatu złotoryjskiego, nawet czasowo tutaj mieszkających, w których rodzinach byli jeńcy obozów w Kozielsku (zamordowani potem w Katyniu), Starobielsku i Ostaszkowie. Chodzi także o zgładzonych w 1940 r. przez ZSRR w innych miejscach.

Jednocześnie proszę o kontakt mężczyznę, który pod koniec 2019 r. pytał administrację złotoryjskiego cmentarza o możliwość pochowania prochów najprawdopodobnie swojego dziadka, straconego w Katyniu.

Roman Gorzkowski
661 743 992, rogorz@poczta.fm

Przywracanie do istnienia

Przemijanie życia

Stanęła najprawdopodobniej w połowie XIX w. na złotoryjskim cmentarzu. Od razu głęboko wpisała się w nastrój całego otoczenia, dołączając do innych symbolicznych miejsc, nieustannie skłaniających do refleksji. Od XVI wieku, na nowej bramie wejściowej cmentarza widniał już napis „Wejście w ciszę", w 1841 r. nad głównym portalem kościoła św. Mikołaja pojawiły się słowa MEMENTO MORI (Pamiętaj, że umrzesz).

Chodzi o piaskowcowy monument, zwany popularnie kamienną kolumną. Niestety nie znamy nazwiska ani inicjatora ani jej projektanta ani wykonawcy. Nie można wykluczyć, że refleksje i pamięć fundatora sięgała niedawnego wydarzenia. Kolumna stanęła przecież obok kościoła św. Mikołaja, który pełnił już wówczas funkcje świątyni cmentarnej.

Wszyscy złotoryjanie pamiętali bowiem tragiczną noc z 17 na 18 kwietnia 1840 r. Akurat przypadała wówczas Wielkanoc. Pożar, który przypadkowo wybuchł przy dzisiejszej ulicy Legnickiej (wtedy Ritterstraße) skończyłby się zapewne na spaleniu dwóch domów i siedmiu stodół, gdyby nie wyjątkowo silna wichura. Przeniosła ona iskry (według innej relacji – kawał płonącej słoniny) na kryty drewnianym gontem dach kościoła św. Mikołaja, który natychmiast zaczął płonąć. Po chwili stał już w ogniu cały budynek, zawalił się dach, ściana za ołtarzem a nawet górne partie kamiennych ścian zewnętrznych i zwieńczenia okien. Pastwą płomieni padło całe bogate i bezcenne, od wieków gromadzone, wyposażenie wnętrza, w większości przecież drewniane. Pożar poważnie uszkodził nawet piękne gotyckie wejścia, szczególnie portal główny. Opisywane wydarzenia pogrążyły w żałobie całe miasto, zarówno społeczność protestancką jak i katolicką.

Odbudowę kościoła zakończono szczęśliwie już w 1841 r. To właśnie wtedy powyżej głównego wejścia wmurowano prostokątny kamień z inskrypcją „MEMENTO MORI", a ponad nim kamienną czaszkę. Te dwa elementy podkreśliły charakter kościoła, zaadresowano je do złotroryjan wszystkich wyznań, odwiedzających groby swoich bliskich na Górze św. Mikołaja.

Być może nie każdy zadzierał głowę by dostrzec sentencję „Pamiętaj, że umrzesz". Wszyscy misieli jednak przejść obok kolumny. Najważniejsze symbole widnialy z czterech stron zwężającego się ku górze obeliska. Artysta wyrzeźbił na niej czaszkę oraz twarze dziecka, młodego i starszego mężczyzny. Obok nie było żadnego napisu. Nikt nie miał jednak wątpliwości, jeśli chodzi o ich znaczenie, każdy widział tutaj swój los i los swoich bliskich. Nasi przodkowie dochodzili z pewnością do tych samych wniosków, co nasze pokolenie – jedni, być może, dostrzegali jedynie tragizm ludzkiego życia, inni, godząc się z nieuchronnością, nie tracili nadziei. Przecież tuż obok znajdował się kościół, wzniesiony przez wierzących. Proszę zauważyć – próżno szukać nazwiska fundatora, sponsorów, kapłanów itd., nawet roku powstania – to wszystko nie było ważne, chodziło o wzbudzenie refleksji.

Kościół św. Mikołaja i cały teren cmentarza (łącznie z bramą, „prowadzącą w ciszę") od zawsze stanowił dziedzictwo kolejnych pokoleń złotoryjan. Na szczęście kościoła nie dotknęła już podobna do 1840 r. tragedia. Cały czas przechodzimy przez renesansową bramę.

Niestety, nie można powiedzieć tego o kamiennej kolumnie. W lutym 1995 r. została skradziona przez nieznanych do tej pory sprawców. Dokładnie, zabrano część górną, pozostał jedynie cokół.

O wyjaśnienie jej losów apelowaliśmy już w 1995 r. na łamach „Gazety Złotoryjskiej" oraz ostatnio w Echu Złotoryi (kwiecień 2019 r. i wrzesień-październik 2019). Poszukiwał jej także po 1995 r. ówczesny legnicki konserwator zabytków, Zdzisław Kurzeja. Przed kilku laty na zachowanym cokole stanęła współczesna figura Chrystusa, poświęcona przez franciszkanów.

Lecz fakty podane w ostatnim akapicie także są nieistotne. Najważniejsze jest to, że od kilku miesięcy trwają przygotowania do odtworzenia kolumny. Udało się zgromadzić archiwalne fotografie, które wykonał przede wszystkim Krzysztof Maciejak, Stanęłaby po drugiej stronie cmentarnej alejki (w porównaniu do miejsca pierwotnego), równeż niedaleko kościoła (ocalały oryginalny cokół ze znajdującą się na nim rzeźbą pozostałby nietknięty). Inicjatywa zrodziła się wśród członków Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej (przede wszystkim zaangażowali się: Bogusław Cetera, Józef Banaszek, Jerzy Gryszkiewicz, Jan Wolski i Alfred Michler, pomaga trochę niżej podpisany), którzy postanowili całe, niełatwe przecież, przedsięwzięcie zrealizować w ramach tegorocznego złotoryjskiego budżetu obywatelskiego. Złożony wniosek, nie przekraczający finansowo zasad tego budżetu, otrzymał pozytywną opinię konserwatora zabytków (oryginalna kolumna nie znajdowała się w rejestrze zabytków, ale taki status posiada cała nekropolia) i poparcie duchowieństwa parafii św. Jadwigi.

Sądzimy, że właśnie w dzisiejszych czasach potrzebnych jest jak najwięcej miejsc, które skłaniałyby do przemyśleń i zadumy. Przy kolumnie będziemy mogli na chwilę się zatrzymać...

Bogusław Cetera
Roman Gorzkowski

Złotoryja i okolice w reklamie sprzed 1945 r.

Transport, mechanika, kowalstwo, kołodziejstwo... - cz. 4

W tej części zajmiemy się transportem i działającymi wokół niego warsztatami mechanicznymi, ślusarskimi, rymarskimi, kowalskimi, kołodziejskimi oraz usługami z zakresu spedycji towarów, przewozu osób, turystyki, pomocy drogowej, wynajmu lub dystrybucji maszyn, powozów, samochodów, paliw... Przedstawimy **piętnaście takich firm odnalezionych w reklamach prasowych i na szyldach uwiecznionych na widokówkach.** Pewnie było ich w dawnej Złotoryi znacznie więcej...

W omawianym okresie w transporcie i pokrewnych dziedzinach zachodziły intensywne przemiany. Najważniejszym środkiem komunikacji pozostawała kolej. Jednak na krótszych dystansach wciąż niezastąpione były powozy konne. Bardzo popularne stały się też rowery. Dopiero w latach 20. XX w. zaczęło się pojawiać coraz więcej samochodów, traktorów, motocykli... W 1929 r. po niemieckich drogach jeździ już 300 tysięcy takich pojazdów (3 miejsce w Europie). Ważną rolę zaczyna też odgrywać lotnictwo - nad Złotoryją cyklicznie przelatują stacjonujące w Legnicy sterowce.

Zmienia się Złotoryja. Zalegające w Rynku powozy ustępują miejsca samochodom i motocyklom. W latach 30. XX wieku tylko przed samym Ratuszem możemy naliczyć po kilkanaście zaparkowanych automobilii. Do nowych osiągnięć technicznych dostosowuje się szybko branża transportowa. Powstają nowe przedsiębiorstwa. Stare zakłady, aby pozostać na rynku i sprostać nowym wymogom, dostosowują i powiększają zakres swoich usług. Zakłady kołodziejskie oprócz dawnej działalności, zaczynają naprawiać koła od samochodów oraz wypożyczać i sprzedawać pojazdy mechaniczne. Zakłady szklarskie oferują osadzanie szyb samochodowych. Kuźnie poszerzają swoje usługi o prace ślusarskie i mechaniczne. Firmy transportowe zamieniają siłę pociągową swoich naczep-wozów z koni na ciągniki i samochody. Upowszechnia się także cała masa niezbędnych w motoryzacji rzeczy. Powstają pierwsze stacje benzynowe (pompy), wcześniej benzynę kupowano w aptekach i składach chemicznych. Zakładane są szkoły nauki jazdy i warsztaty remontowe, rozwija się pomoc drogowa oraz wynajem i handel samochodami, autobusami, maszynami rolniczymi...

Damian Komada

Reklama zakładu kołodziejskiego z 1905 r.

Zadowolenie zapewnione! Polecam mój stary renomowany zakład **(założony w 1852 r.)** oraz mój duży magazyn z nowymi, jak i używanymi powozami i samochodami firmowym. Remonty oraz nowe konstrukcje, jak zwykle w uczciwym i niezawodnym wykonaniu. **Paul Wehwald, Kołodziej. Złotoryja na Śląsku**, obecna ul. Wyszyńskiego 295/96).

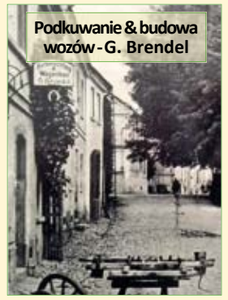

Zakład kowalsko-kołodziejski na dzisiejszej ul. B. Krzywoustego (szyld na widokówce z 1917 r.)

Reklama z 1927 r.

Uprzęże rolnicze - uprzęże powozów. Sofy, krzesła wypoczynkowe, kufry, podróżne i podręczne tanie wyroby skórzane od **Hogo Kolbe, mistrza rymarskiego.** Złotoryja na Śląsku, Reiflerstraße 9 (obecna ul. A. Mickiewicza).

Reklama z 1943 r.

Samochody, obsługa klienta, szkoła nauki jazdy. Wynajem samochodów osobowych i autobusów szkoleniowych dla przeprowadzenia nauki jazdy. Instalacja LPG - warsztat. **Pomoc samochodowa A. Morgott, Złotoryja**, Tel. 304

Richard Hohberg, Złotoryja na Śląsku. Spedycja *Transport mebli *Handel węglem. Telefon 14. Na stacji 2. Magazyn i stacja benzynowa Niemieckiego Handlu Ropą, Wrocław.

Reklama z 1925 r.

Reklama firmy transportowej z 1905 r.

Telegraf-odbiór Poczta. Nr telefonu 14. **H. Langner, Złotoryja na Śląsku na dworcu kolejowym. Poczta, spedycja, transport mebli - oraz najlepsza firma** poleca szanownemu państwu 2 zaprzęgi półkryte, Landauer (powóz konny), 6-12 miejscowy Kremser (omnibus) spod taboru kolejowego do Willmannsdorfer Hochberg (schroniska na szczycie Rosochy), w Dolinie Kaczawy, do Ostrzycy Proboszczowickiej, Grodźca... Szybka obsługa. Najtańsze ceny.

R. Hohberg, tel. 414, na stacji 2. Złotoryja na Śląsku. Transport samochodowy mebli. Spedycja kolejowa. Handel węglem. Wojłok roślinny i torf.

Reklama z 1943 r.

Reklama z 1943 r.

Herman Walter. Spedycja, handel węglem. Transport krótkodystansowy. Tel. 432, ul. Łaziebna 7 (obecna ul. Krasickiego).

Reklama z 1927 r.

Uwaga! Złotoryja-Chojnów. Kuźnia - Ślusarstwo. Okna stadół, kraty chlewni, oranżerie, zabezpieczenia drzwiowe. Szybkie naprawy. **Bruno Neumann, Ślusarz**, tel. 311, Złotoryja, (Brama Fryderyka) 16

Stacja paliw firmy DAPOLIN (tzw. pompa) **w reklamie z 1925 r.**, na ul. Złotoryjskiej w Legnicy (właściciel Oscar Thebesius). Pewnie korzystały z niej także automobile ze Złotoryi.

Reklama z 1943 r.

Alfred Herrmann Złotoryja (Śląsk) Optyk*Mistrz mechanik ul. Legnicka 28, tel. 480

Sklep i warsztat Carla Hermanna w 1911 r. - na wystawie rowery (obecny pl. Matejki)

Heinrich Höher - Maszyny rolnicze. Naprawa i sprzedaż... Lokale firmy znajdowały się na obecnej ul. Garbarskiej-Kolejowej oraz w Rynku 33.

Historia starej widokówki Wejście do miasta - dawniej i dziś

Jak dostrzegamy na barwnej widokówce z lat 20. ubiegłego stulecia, tutaj dopiero zdaniem dawnych złotoryjan zaczynało się „właściwe" miasto. Nie tylko dlatego owe malownicze schodki były takie ważne – po prostu były bardzo uczęszczane, zwłaszcza przez przyjeżdzających pociągiem i śpieszących na stację kolejową. Przecież wielu z nas tak właśnie kojarzy wędrówkę ulicą Zieloną, o każdej porze roku. A niektórzy pamiętają nawet, że codziennie ok. 7 rano odjeżdzały z dworca równocześnie aż cztery pociągi. Obok starych pocztówek zamieszczamy całkiem nowe fotografie, ponieważ właśnie zakończył się generalny remont naszych schodków – może warto byłoby ustawić nad nimi gustowny witający wszystkich napis? Przecież dożyjemy powrotu pasażerskich pociągów... Tym razem nagrodzimy te osoby, które przypomną, w jakich to kierunkach wyruszało owych kilka pociągów.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Utinam falsus vates sim!

O bym był fałszywym prorokiem – jak mówili starożytni Rzymianie. Nikt nie chce, by spełniły się najczarniejsze sny. Jerzy Wojcik, który kilkadziesiąt lat temu utrwalił na kliszy leżącą w pobliżu przejazdu kolejowego między Złotoryją a Jerzmanicami tablicę, „informującą" o rezerwacie „Wilcza Góra", także nie spodziewał się, jak poważnie zagrożony będzie dzisiaj ten obiekt. Pomimo tego, że właściwie już wyjaśniliśmy historię tego zdjęcia, nie pozbawiamy czytelników szansy na nagrodę książkową – prosimy o nadesłanie pięciu ważnych dat, związanych z dziejami Wilkołaka i rezerwatu oraz prognozę, jak będą wyglądały te miejsca w 2025 r.

Roman Gorzkowski

Warto przeczytać

Złotoryja w pigułce

To już druga edycja mikroprzewodnika po Złotoryi i okolicach (pierwsza ukazała się w 2015 r.), wydana przez Studio KZS z Legnicy. Choć podział treści jest taki sam (najważniejsze zabytki i atrakcje miasta, walory historyczne i przyrodnicze najbliższych okolic aż po Grodziec i Wielisławkę, plan miasta, baza noclegowo-gastronomiczna oraz przydatne adresy; wszystkie opisy również w języku angielskim, niemieckim i czeskim) to zaraz na początku dowiadujemy się, że z wieży kościoła Mariackiego rozbrzmiewa hejnał w aranżacji Jana Borysewicza, a nieco dalej pojawiają się nowe wiadomości o ranczu Grapa, Sudeckiej Zagrodzie Edukacyjnej i Geoparku „Kraina Wygasłych Wulkanów". Nie tylko uaktualniono wszystkie informacje, ale również wymieniono większość fotografii. Wśród ich autorów – złotoryjanie: Sylwia Dudek-Kokot, Andrzej Cukrowski, Łukasz Rycąbel, Mirosław Stanisławski i Kajetan Kukla. W przewodnik zaopatrzyć się można bezpłatnie w Centrum Informacji Turystycznej.

Roman Gorzkowski

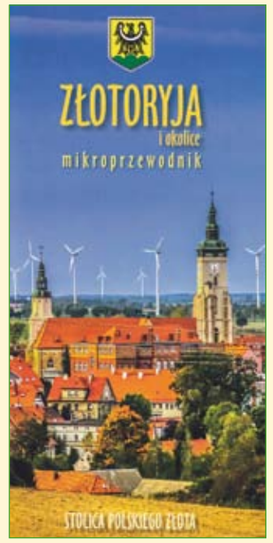

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

32 LAT
1987 - 2017

ECHO ZŁOTORYI

ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej liczy sobie 32 lata. A każdy rok to wiele inicjatyw skierowanych do mieszkańców naszej Małej Ojczyzny. To kolejne wydania książek, broszur, widokówek i czasopism, to konferencje, i niezliczona ilość przebytych kilometrów podczas rajdów i wycieczek, to tysiące zdjęć, obrazów i różnych przedmiotów wyeksponowanych podczas wystaw.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej,
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1,
e-mail: tmzz@tmzz-zlotoryja.pl; tel.: 571254858.

TMZZ zdobył tytuł Laureata w VI edycji konkursu zDolne NGO

Niektóre z przedsięwzięć zrealizowanych przez TMZZ w 2019 roku:
VIII Złotoryjski Przegląd Kultury Kresowej, XVIII Powiatowy Dzień Regionalisty, XXII Rajd Jadwiżański, Spotkania poświęcone Powstaniom Śląskim i Wielkopolskiemu, Wydanie biblioteczki TMZZ t. XIII pt. „Inskrypcje złotoryjskie od XV- do połowy XX w.”.

* OŚRODEK DOKUMENTOWANIA I OPRACOWYWANIA DZIEJÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ECHO ZŁOTORYI
* BIBLIOTECZKA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ
* ZŁOTORYJSKI KLUB FOTOGRAFICZNY
* KOŁO KRESOWIAN
* KLUB KOLEKCJONERA
* RAJDY I SZLAKI ŚW. JADWIGI ORAZ ŚW. JAKUBA

GALERIA SPONSORÓW

TO MIEJSCE
CZEKA NA TWOJĄ
REKLAMĘ

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
„Bazalt” SA w Wilkowie

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hudrauliki siłowej
sprzetu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212

VITBIS
szklane bombki choinkowe

POAR
Złotoryja

grysy bazaltowe
STONESPOL
* płukanki
* kolorowe
* posypki
* mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

ECHO ZŁOTORYI

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus”), tel. 571254858,
Internet: www.tmzz-zlotoryja.pl, www.facebook.com/echo.zlotoryi, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli społecznie: Roman Gorzkowski, Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Damian Komada (skład), Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Krystyna Rybicka (dystrybucja), Danuta Sosa, Joanna Sosa-Misiak (redaktor naczelna).

Zdjęcie na okładce: Mirosław Stanisławski, Pierwsze bociany.

Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok